W numerze: Zwierzenia archeologa • Tragiczne liczby • Pomniki wrócone życiu • Ze świata nauki • Dom grozy • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 24 (400)
20 VI. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

KENNETH TYNAN

SYNTEZA SOHO

Znajduje się ono w centrum Londynu, lecz jest miejscem wartym odwiedzenia jeżeli ktoś pragnie od Londynu się oderwać. Soho jest zupełnie odrębnym kawałkiem ziemi; odrębnym rodzajem potraw, które się spożywa i pismami, które się tam czyta; cudzoziemska enklawa niesłusznie obwołana jako „Mila kwadratowa grzechu w Londynie" (jest ona wszystkim, tylko nie kwadratem).

Jest to również jakby samodzielne królestwo cyganerii, zaludnione uchodźcami nie tylko z Europy, lecz z Kennsingtonu, Hampsteadu i innych ośrodków szacownego mieszczaństwa Londynu. Jest to jakby miniaturowy Wspólny Rynek, tyle że bez powiązań NATO.

I chociaż Soho posiada atmosferę osobnego miasteczka i położone jest tylko kilka mil od Greenwich, to jednak charakterem różni się zasadniczo od swego odpowiednika w Nowym Jorku. To prawda, że ma swoje kabarety, księgarnie, bary kawowe i wielojęzyczny zgiełk na ulicach, nie jest ono jednak, przynajmniej nie bezpośrednio, kolebką sztuki. Soho jest surowcem, z którego tworzy się powieści i miejscem, gdzie się te powieści sprzedaje. Żaden jednak pisarz tam nie mieszka. W gruncie rzeczy ponad sto lat musiało upłynąć, nim sam fakt zamieszkania w Soho stał się czymś przyjętym. Jest to ziemia niczyja a jednocześnie należąca do wszystkich, co w części wyjaśnia jej wdzięk: Soho jest jednym z niewielu zabudowanych obszarów Wielkiej Brytanii, gdzie przybysz może wędrować spokojny w swojej świadomości, iż stali mieszkańcy nie próbują wydawać o nim swoich sądów. Jest on obcym wśród obcych, z których wielu przydarzyło się po prostu być tam dłużej. A oto dlaczego — jeśli nie jest się purytaninem lub dotkniętym ksenofobią — można się czuć tutaj jak w domu.

Granice Soho tworzą rodzaj małej Europy, z dziwną domieszką Chin i Indii i nieco bardziej namacalnym dodatkiem cockneyskiej przestępczości. Tutaj Anglicy przekształcają się w turystów, a dla zaspokojenia ich potrzeb Soho oferuje swój jedyny, oryginalny produkt: dobre jedzenie.

Prawdopodobnie żadne inne miejsce na świecie nie posiada na tak małej przestrzeni tak dużej różnorodności kuchni narodowych. Kuchnią francuską można się delektować w Jardin des Gourments, gdzie ściany zrobione są wyłącznie z wnęk przykrytych okiennicami, w Escargot, gdzie skorupki ślimaków kołyszą się zwisając z abażurów, a grono doświadczonych kelnerów wygląda jakby każdy z nich pełnił uprzednio funkcje kamerdynera; a nade wszystko w Etoile, gdzie klasyczna kuchnia zdobywa najwyższe noty w międzynarodowych przewodnikach. W Epikurze, innej świątyni francuskiej sztuki kulinarnej, prawie wszystko przyrządzane jest przy stole konsumenta i, jeśli możliwe, na obfitym płomieniu. Z lokali typu bistro znajduje się tu York Minster znany również jako „francuski pub", gdzie artyści i pisarze zbierają się w południe na „mały łyk" a młody generał de Gaulle gromko oznajmia ze ściennego afisza z datą 1940 r., że „Francja przegrała bitwę, ale nie wojnę".

Na sposób włoski można zjeść w małej, wyłożonej kafelkami „Trattoria Terazza" szczególnie ulubionej przez Franka Sinatrę, oraz w „Quo Vadis". Właściciel tej ostatniej restauracji nie pozwolił Radzie Miejskiej Londynu na umieszczenie nad drzwiami swego lokalu tablicy pamiątkowej na cześć Karola Marksa, który niegdyś tu zamieszkiwał. (Obawiał się, że może to zdenerwować jego klientów, którzy, ogólnie rzecz biorąc, nie są grupą zbyt rewolucyjnie nastrojoną). U Czoy'a i Ley-On'a jada

Dalszy ciąg na str. 5

JAN KOPROWSKI

NAD ŁABĄ RENEM i NECKAREM

W miesiącu maju podróżowałem po Niemieckiej Republice Federalnej. Mam za sobą około trzy tysiące przejechanych kilometrów i pobyt w następujących miastach: Berlinie zachodnim, Hamburgu, Düsseldorfie, Kolonii, Frankfurcie nad Menem, Bonn, Heidelbergu i Monachium. W drodze powrotnej do Polski zatrzymałem się w Pradze czeskiej, którą widziałem po raz pierwszy. Przed wyjazdem do NRF pewien mój znajomy powiedział: „Niech pan ma oczy i uszy otwarte. Niech pan pilnie obserwuje, co Niemcy robią i jak się zachowują, bo to jest przecież strasznie ważne. Prawda?"

Prawda. Bardzo ważne. Ale miesiąc czasu to za krótko, by przyjrzeć się dokładniej życiu obcego kraju i odpowiedzieć na wszystkie dręczące nas pytania. Ponadto mój pobyt miał ściśle określony charakter: zajmowałem się sprawami literatury, szperałem w bibliotekach, odwiedzałem pisarzy, profesorów, dziennikarzy i wydawców, by zebrać materiał do planowanej książki o niektórych problemach współczesnej literatury niemieckiej, a przede wszystkim o głośnej „Grupie 47", skupiającej co wybitniejszych autorów młodego i średniego pokolenia. Obserwacje „inne" zbierałem niejako po drodze, będzie o nich nieco więcej w książce. Tutaj chciałbym się ograniczyć do zwięzłej relacji o zasadniczym celu mojej podróży. Muszę zresztą wyznać, że wybierałem się w tę podróż z wielką tremą. Bardzo mnie ciekawią Niemcy zachodnie, ale jednocześnie lękałem się spotkania z nimi. Z pewnością nie bez znaczenia są tu przeżycia okupacyjne, które wielu z nas dały się mocno we znaki.

Dalszy ciąg na str. 6

ŚWIATA

W dyplomacji — można powiedzieć — nastał „czas podróży". Do długiej listy politycznych wizyt, które omawiałem w poprzednich komentarzach, a także tych, które nie zmieściły się w skromnych ramach naszych felietonów — trzeba dodać jeszcze dwie: premiera ChRL — Czou En-laja w Tanzanii i prezydenta Francji — de Gaulle'a w Bonn. Na nich też, poza Wietnamem i Dominikaną, pozostających w orbicie najwyższego zainteresowania, skupiła się uwaga opinii publicznej. Poświęćmy im więc i my kilka słów.

Wizyta Czou En-laja w młodej Tanzanii dała okazję do przypomnienia, że w ciągu ostatniego półtora roku jest to już 25 podróż premiera ChRL, co zapewniło mu na łamach prasy zachodniej określenie „najruchliwszego premiera na świecie". Warto przy tym dodać, że spośród wymienionej liczby tylko cztery dotyczyły Europy. Zdaniem komentatorów zagranicznych — jest to najlepsza ilustracja kierunku chińskiej aktywności.

Ostatnią podróż łączy się wyraźnie z przygotowaniami do „drugiego Bandungu", czyli kolejnej konferencji krajów afro-azjatyckich, która odbyć się ma w Algierze.

Zainteresowanie tą konferencją uzasadnione jest rolą, jaką w nowym układzie sił politycznych odgrywają kraje „trzeciego świata". Już dziś wiadomo, że weźmie w niej udział ponad 50 krajów i że obrady koncentrować się będą na problemach: zagrożonego pokoju, dekolonizacji i pomocy dla młodych krajów Azji i Afryki.

Już tylko wyliczenie przypuszczalnych osi dyskusji budzi liczne spekulacje, a w świecie kapitalistycznym obawy.

Pod tym też kątem obserwowana była wizyta Czou En-laja w Tanzanii.

Zupełnie inne powody, częściowo zresztą omówione w ub. tygodniu, zwróciły uwagę na spotkanie de Gaulle — Erhard. I chociaż znowu nie będziemy mogli komentować wyników tych rozmów — warto przecież zwrócić uwagę na ich klimat.

Tuż przed wyjazdem do Bonn — na „garden party" organizowanej tradycyjnie dla parlamentarzystów w Pałacu Elizejskim, prezydent Francji wypowiedział słowa, które powtórzone zostały chyba przez całą prasę zachodnioeuropejską. Otóż w odpowiedzi na pytanie jednego z deputowanych o realność koncepcji ponadnarodowego rządu europejskiego, stwierdził: „Fuzja jest niemożliwa... Łatwo wygłaszać przemówienia na temat ponadnarodowej Europy, łatwo jest być nieodpowiedzialnym".

Oczywiście, stanowisko de Gaulle'a w tej sprawie znane jest od dawna. Jeśli jednak wystąpił z tak mocnym oskarżeniem autorów tego projektu tuż przed wizytą w Bonn — ma to swoje znaczenie, świadczy bowiem o jego stanowczości. Przyjęto to jako zły prognostyk dla kolejnego spotkania z kanclerzem NRF. A przecież jest to zaledwie jeden z licznych punktów rozbieżności, których — by powołać się na Reutera — „istnieje więcej aniżeli punktów porozumienia".

Zadanie Erharda nie było więc łatwe, tym bardziej, że rząd boński właściwie wszedł już w okres przygotowań do wyborów.

O zagrożonej w pewnym sensie sytuacji partii Erharda pisałem w ub. tygodniu. Z frontu przedwyborczego odnotujmy jednak artykuł socjaldemokraty Carlo Schmidta we francuskim piśmie „Realites". Poświęca on duże fragmenty polityce wschodniej. Czytamy tam m. in.:

„...Mamy zamiar być bardziej aktywni niż chrześcijańscy demokraci, zwłaszcza gdy chodzi o nawiązanie stosunków dyplomatycznych z krajami wschodnimi. Jest rzeczą pewną, że rząd socjalistyczny miałby już w chwili obecnej ambasadorów w Warszawie, Pradze, Budapeszcie..."

I w innym fragmencie:

„Na płaszczyźnie militarnej myślę o strefie w rodzaju tej, jaką zaleca polski minister Rapacki, strefie, gdzie zbrojenia byłyby ograniczone w sposób rozsądny".

Przedwyborczy artykuł oczywiście o niczym jeszcze nie świadczy i tego, co pisze Schmidt nie należy brać dosłownie. Interesujące jest co innego: kierunek kampanii socjaldemokratów. Wspominam o tym przede wszystkim dlatego, żeby wykazać, że sytuacja dla Erharda i jego partii komplikuje się nie tylko zewnętrznie, lecz i wewnętrznie. Wszystko to może mieć wpływ na sytuację Niemiec zachodnich w bloku atlantyckim.

W dzisiejszym przeglądzie wydarzeń zasygnalizujmy jeszcze jedną sprawę: nasilenie ostrej krytyki polityki amerykańskiej na łamach prasy. Z całą pewnością nie była to lektura dla Johnsona przyjemna.

I tak np. znany publicysta amerykański — Walter Lippmann, który niedawno powrócił z Londynu i Paryża pisze wprost, że „Johnson podkopał zaufanie Europy co do mądrości przywódców amerykańskich". Sebastian Haffner w artykule na łamach tygodnika „Stern" zwierza się: „Nie jestem antyamerykaninem... A jednak wydaje mi się absolutnie konieczne wyjaśnić zdecydowanie, że obecne amerykańskie czyny w Wietnamie i Santo Domingo są nie błędem politycznym, ale przestępstwem". W artykule, zamieszczonym na łamach „Sun" czytamy natomiast: „Amerykanie są niebezpiecznie bliscy tego, że będą prowadzili otwartą wojnę wyłącznie na własną rękę". I dalej w tym samym duchu... Krytyka, krytyka i jeszcze raz krytyka.

A co na to Waszyngton? Dalej sto pniuje wojnę. Doprawdy trudna zmierzyć konsekwencje tej polityki dla samych Stanów Zjednoczonych...

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

NIEDZIELA,
6 czerwca

■ Wskutek ofensywy prowadzonej przez siły partyzanckie w Wietnamie południowym, straty wojsk rządowych w ubiegłym tygodniu wyniosły 1.876 ludzi. Władze sajgońskie nazwały ten tydzień „najbardziej krwawym tygodniem wojny".

■ Premier ChRL Czou En-laj złożył wizytę oficjalną w Tanzanii. Powitanie chińskiego gościa w stolicy państwa było największą imprezą jaką przeżyła Tanzania od czasu uzyskania niepodległości. Na trasie przejazdu Czou En-laja zbudowano wiele bram triumfalnych z napisami: „Witaj przyjacielu i bracie, premierze Czou En-laj, Tanzania jest twoim domem", „Chiny i Tanzania na zawsze braćmi" itp. Opublikowany na zakończenie wizyty komunikat, stwierdza, że „imperializm nigdy nie zmieni swej natury" i dlatego obie strony zdecydowane są prowadzić walkę w celu „zdruzgotania wszelkich imperialistycznych planów agresji i wojny".

Cnota byłaby łatwą rzeczą, gdyby nie konieczność ciągłego jej ćwiczenia.

SUSAN HAYWARD
aktorka

PONIEDZIAŁEK
7 czerwca

■ Marszałek brytyjski Montgomery zapowiedział swą podróż do Waszyngtonu w celu przekonania prezydenta Johnsona o konieczności politycznego rozwiązania kryzysu wietnamskiego, gdyż „jest rzeczą niemożliwą wygranie tego rodzaju wojny" — oświadczył marszałek — środkami wojskowymi, chyba że rzuci się pół miliona ludzi do walki i podejmie się marsz na Północ, by zająć Hanoi".

■ Miesięcznik „Sowietskaja Pieczat" — Organ Związku Dziennikarzy ZSRR zamieszcza artykuł, w którym sporo miejsca poświęca się skuteczności materiałów krytycznych publikowanych na łamach dzienników i czasopism. „...stosunkowo rzadko — czytamy w artykule — spotkać dziś można ludzi, którzy jawnie tłumią krytykę. Najbardziej rozpowszechnioną formą tłumienia krytyki jest jej przemilczanie bądź ignorowanie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy jeden tylko tygodnik „Ekonomiczeskaja gazieta" nie otrzymał odpowiedzi na 72 materiały krytyczne opublikowane na jego łamach",

■ W Barcelonie odbyła się walka byków zorganizowana staraniem Towarzystwa Ochrony Zwierząt. Dochód z imprezy przeznaczono na akcję zwalczania walki byków.

WTOREK,
8 czerwca

■ Prasa meksykańska donosi, iż rząd Brazylii w ścisłym porozumieniu z rządem USA prowadzi akcję dyplomatyczną na rzecz zmiany OPA (Organizacji Państw Amerykańskich) w organizację militarną typu NATO, niezależną całkowicie od ONZ.

■ Federacja Studentów Chińskich skierowała depeszę do Związkowej Rady Wykonawczej Jugosławii, w której protestuje przeciwko „brutalnemu prześladowaniu przez władze jugosłowiańskie studentów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej, którzy brali udział 12 maja w demonstracji przeciwko imperialistycznej inwazji USA w Dominikanie".

■ Według doniesień Agencji AP turecka lewica polityczna staje się coraz mocniejsza i aktywniejsza. Wyrazem tego są żądania nacjonalizacji handlu zagranicznego, przemysłu naftowego; rosnący krytycyzm pod adresem Zachodu a szczególnie USA, krytyka udziału Turcji w NATO i SEATO.

ŚRODA,
9 czerwca

■ Po decyzji Waszyngtonu skierowania do walk z partyzantami wietnamskimi regularnych jednostek lądowych USA: Le Monde": Coraz trudniej będzie USA kazać innym wierzyć, że Ameryka broni wolności narodów i prawa ich do samostanowienia;

„The Guardian": Dlaczego Wilson nic nie mówi o tym, że to co Amerykanie robią jest na nic nieprzydatne i złe? Wielu ludzi w W. Brytanii pełnych jest zdumienia i rozpaczy;

„Neue Rhein Ruhr Zeitung":

mieszkalnych w pobliżu zakładów pracy.

■ Agencja AFP donosi z Moskwy, iż przewiduje się tam, że Muzeum Stalina w Gori (Gruzja), zamknięte kilka lat temu, zostanie ponownie otwarte w końcu br. Jedna z sal muzeum ma zostać poświęcona gruzińskim bohaterom rewolucji.

PIĄTEK,
11 czerwca

„W półtora roku po objęciu władzy prezydenta przez Lyndona Johnsona można z całą pewnością powiedzieć: niebezpiecznie jest dowierzać czemukolwiek co on powie... Różnica między nim a Goldwaterem polega na tym, że ten ostatni otwarcie wyznawał to, co ten pierwszy realizuje. Goldwater przegrał ponieważ był uczciwszy i mniej sprytny. Ale istnieje pewna granica sprytu i Johnson dotarł właśnie do tej granicy".

I.F. STONE — PUBLICYSTA AMERYKAŃSKI

■ Jugosłowiańska Agencja Tanjug donosi z Rzymu o obradach plenum Włoskiej Partii Komunistycznej poświęconych utworzeniu jednolitej partii włoskiej lewicy. Agencja zwraca uwagę, iż czterech członków KC głosowało przeciwko, a trzech wstrzymało się od głosu przy podejmowaniu końcowej uchwały. Stwierdza się tutaj — pisze Tanjug — że jest to pierwsze tego rodzaju wydarzenie, kiedy oficjalnie podano do wiadomości, że uchwała kierowniczego organu partii komunistycznej nie została przyjęta jednomyślnie".

Nie ma większej potęgi jak potęga śmiechu.

HUGE GREEN
dyrektor BBC

SOBOTA,
12 czerwca

■ Prasa zachodnioniemiecka podaje wiadomość o zawarciu porozumienia między zachodnioniemiecką firmą przemysłową a władzami gospodarczymi Rumunii w sprawie budowy przez zakład niemiecki w Rumunii wielkiej stalowni w Galatz w delcie Dunaju. Stalownia ta produkować ma w pierwszej fazie 1,25 mln ton stali. W toku rozważania znajduje się możliwość podwyższenia zdolności produkcyjnej zakładów do 4 milionów ton.

■ „Polski model planu 1966" — Pod takim tytułem organ Włoskiej Partii Komunistycznej „Rinascita" omawia przygotowywaną reformę planowania w Polsce. Za sprawę najistotniejszą pismo uważa odejście od metod o charakterze czysto administracyjnym, stosowanych w latach szybkiego uprzemysłowienia i stworzenie nowego modelu, w którym przeważać będą ekonomiczne czynniki stymulowania produkcji.

■ Na szosie do Johanesburga w Afryce Południowej uwagę pewnego farmera zwróciło auto, którego bieg rodził podejrzenie, że za kierownicą siedzi nietrzeźwy właściciel wozu. W momencie kiedy samochód zatrzymał się na najbliższym drzewie, ku swemu zdumieniu farmer spostrzegł całą i żywą pasażerkę, która z wyrazem obrzydzenia wskazywała kierownicę, na której siedziała maleńka mysz.

(„Stockholms Tidningen")

SOBOTA,
12 czerwca

■ Sytuacja w Wietnamie wskazuje na zbliżający się sztorm.

CZWARTEK,
10 czerwca

■ Amerykański biuletyn ekonomiczny „Economic Notes" nawiązując do raportu komisji kongresowej w sprawie handlu USA z krajami socjalistycznymi, stwierdza, że raport ten „utrzymany jest w nieprawdopodobnie aroganckim tonie" uzależniając rokowania handlowe od warunków, które „nie dają się pogodzić z elementarnym poczuciem własnej godności" ze strony krajów socjalistycznych.

■ 43 proc. zatrudnionych w gospodarce narodowej Czechosłowacji pracuje w innych miejscowościach niż mieszka. Każdy z tych pracowników traci na dojazd i powrót do domu przeciętnie 1 godzinę. Sumy jakie wydatkuje państwo z tytułu dopłat wyrównujących ceny miesięcznego biletu ulgowego wystarczyłyby na pokrycie kosztów budowy domów

POLONICA

„DIE ZEIT" O MROZKU

W tygodniku hamburskim „Die Zeit" (z 14 maja br.) ukazała się recenzja o Sławomirze Mrożku, pióra Marianny Kesting, z okazji wydania w Niemczech pierwszego tomu jego utworów dramatycznych. Autorka analizuje kilka utworów Mrożka, m. in. „Na morzu", „Strip tease", „Czarowną noc" i „Policjantów". Zdaniem Marianny Kesting Mrożek ma wiele do powiedzenia zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie, a jego oryginalny talent stawia go w rzędzie wybitnych dramatopisarzy współczesnych. Artykuł Marianny Kesting zdobi fotografia Sławomira Mrożka.

POLSKA W ŚWIATOWYM FESTIWALU MUZYKI

W końcu maja br. odbył się w Madrycie 39 Światowy Festiwal Muzyki z udziałem przedstawicieli wielu krajów Europy i świata. „Die Welt" (z 1 czerwca br.) w obszernym omówieniu tej imprezy sporo miejsca poświęca udziałowi Polaków. „Polska dobrze reprezentowana", oto co stwierdza recenzent, który dalej pisze: „Polskę, której w ostatnich latach zawdzięczamy znaczny wkład w dorobek nuzyki nowoczesnej, reprezentowali tym razem Dobrowolski (dobrze opanowany utwór orkiestrowy), Serocki (wspaniała „Symfonia") i Krzysztof Penderecki; którego „Stabat Mater" wywołała ogromne wrażenie".

JANUSZ PRZYMANOWSKI W ZSRR

„Litieraturnaja Gazieta" z dnia 13.VI.65 przynosi wywiad przeprowadzony z Januszem Przymanowskim. Autor batalistycznych powieści opowiada radzieckim czytelnikom o swojej pracy literackiej oraz o niedawno wydanej powieści pt: „Czterej pancerni i pies".

Red. P. Merkina komentując wypowiedzi Przymanowskiego pisze: „Polski pisarz, Janusz Przymanowski, jest autorem popularnych i poczytnych w ZSRR powieści. Wg jego książki, którą napisał wspólnie z radzieckim dziennikarzem O. Gorczakowym, stworzony został telewizyjny cykl opowieści pt. „Ognia na mnie!!"

Obecnie telewizja radziecka zajęła się transmisją tego interesującego filmu.

PANTIELEJMON JURJEW — POETA NIEZNANY

Mało kto wie, że w Łodzi, od wielu lat mieszka i pisze rosyjski poeta Pantielejmon Jurjew, redaktor naczelny miesięcznika wychodzącego w języku rosyjskim „Russkij Gołos". Ten skromny, nie szukający rozgłosu autor debiutował jeszcze przed pierwszą wojną światową. Następnie drukował swoje wiersze i opowiadania w prasie literackiej całego świata: wystarczy wspomnieć Australię, USA, Kanadę, Chiny, Francję i Anglię.

Wychowany na tradycjach liryki Błoka przejął od niego śpiewność i zwięzłość formy, a lektura poezji polskiej sprawiła, że jego wiersze posiadają domieszkę ironii.

W Polsce — swojej przybranej Ojczyźnie — wydał kilka tomików wierszy i poematów napisanych w stylu spokojnej refleksji.

W 1963 r. Pantielejmon Jurjew obchodził 45-lecie pracy pisarskiej. Rosyjskie Towarzystwo Kulturalne uczciło tę zasłużoną rocznicę wydając jubileuszowe tomiki: „Krąg czasu" i „Napój miłosny".

PAWEŁ KORZEC

ECHA POWSTANIA CZERWCOWEGO 1905 R. W ŁODZI

W bogatych tradycjach swej walki o wyzwolenie społeczne i narodowe łódzka klasa robotnicza wyjątkowo piękną kartę zapisała w pamiętnym roku pierwszej rewolucji społecznej na ziemiach polskich. Szczególnie doniosłą rolę Łódź odegrała latem 1905 roku inicjując kolejną ofensywę rewolucyjną przeciw caratowi. Jej kulminacyjny punkt stanowiło słynne czerwcowe powstanie zbrojne.

W maju i czerwcu 1905 roku przez Łódź przeszła druga po styczniu — lutym fala ruchu strajkowego, która ogarnęła cały okręg przemysłowy. Oficjalne dane wskazują, że w okresie 15 maja — 15 czerwca w Łodzi **co dzień strajkowało 20 — 35 tys. robotników.** Strajkom coraz częściej towarzyszyło usuwanie znienawidzonej administracji fabrycznej i realizacja postulatu kontroli robotniczej nad fabrykami. Przejście do metody strajku okupacyjnego doprowadziło do zaciętych walk z policją i wojskiem o fabryki.

Nowemu wzniesieniu fali walk rewolucyjnych towarzyszył wzrost aktywności i kierowniczej roli partii rewolucyjnych — a w szczególności SDKPiL. Z ich inicjatywy fabryki łódzkie stały się areną bezustannych wielotysięcznych wieców robotniczych.

18 czerwca policja i kozacy zaatakowali demonstrację robotniczą, zabijając i raniąc kilkadziesiąt osób. Pogrzeby ofiar zamieniły się w dniach 20 i 21 czerwca w olbrzymią manifestację mas pracujących Łodzi. Manifestacja zorganizowana 21 czerwca, w której uczestniczyło blisko 70.000 robotników, została zaatakowana na ul. Piotrkowskiej przez przygotowane wojska. Padło 21 zabitych i kilkudziesięciu rannych. Zbrojne powstanie stało się nieuniknione w atmosferze wrzenia, jakie ogarnęło masy pracujące po tej masakrze.

Powstanie łódzkie zaczęło się 22 czerwca. W ciągu trzech dni Łódź stała się terenem zaciętych walk barykadowych. Jak wynika ze sprawozdania policmajstra łódzkiego, walki toczyły się na około 100 barykadach, rozsianych po całym mieście. Na skutek słabego uzbrojenia barykady nie mogły być skutecznie bronione i już po kilku godzinach walk część z nich została zdobyta przez szturmujące wojska. Najzacieklejsze walki toczyły się na skrzyżowaniu ulic Wschodniej i Południowej oraz przed fabryką Scheiblera w parku Źródliska.

Po ściągnięciu przez władze znacznych sił wojskowych, proletariat łódzki mimo bohaterskiego oporu uległ przygniatającej przewadze militarnej wroga. **W ciągu kilkudniowych walk na ulicach Łodzi padło około 1.000 zabitych i rannych.** 24 czerwca, gdy powstanie już dogorywało, car podpisał ukaz o wprowadzeniu stanu wojennego w Łodzi i powiecie łódzkim. Był to pierwszy wypadek ogłoszenia stanu wojennego od chwili upadku powstania styczniowego 1863 r. Oceniając znaczenie powstania czerwcowego Zarząd Główny SDKPiL w sprawozdaniu swym na V Zjazd partii stwierdzał: **„...zaszczyt uczynienia pierwszej próby powstania, pierwszej masowej walki barykadowej w państwie carów przypadł w udziale polskiemu proletariatowi i miastu Łodzi..."**

Powstanie czerwcowe w Łodzi odbiło się głośnym echem w Królestwie, w całej Rosji i daleko poza jej granicami. Był to okres zbliżających się rokowań pokojowych między Rosją i Japonią. Rosja carska ubiegała się ponadto o pożyczki zagraniczne. Korespondencje o powstaniu łódzkim publikowane szeroko w prasie zagranicznej podrywały autorytet polityczny caratu na arenie międzynarodowej.

23 czerwca Zarząd Główny SDKPiL w odezwie pt. **„Ulica musi należeć do robotników"** wezwał klasę robotniczą Królestwa do wystąpienia w obronie proletariatu łódzkiego. Komitet Warszawski tej partii apelował do mas w odezwie pt. „Na pomoc braciom łódzkim": **„...Warszawa rewolucyjna nie może patrzeć obojętnie na walkę rewolucyjnej Łodzi. Robotnicy Łodzi mają prawo liczyć na pomoc robotników Warszawy... Robotnicy! Na pomoc naszym braciom łódzkim. Do strajku powszechnego, do walki".**

Odezwy o podobnej treści wydały również komitety SDKPiL i innych partii rewolucyjnych w Zagłębiu, Lublinie, Białymstoku i Częstochowie.

W okręgu łódzkim strajki powszechne i masowe demonstracje zaczęły się już 23 czerwca, tj. w dniu największego nasilenia walk w Łodzi. Tego dnia do walki stanęły Pabianice, Zgierz, Piotrków oraz inne miasta i osiedla łódzkiego okręgu przemysłowego. Szczególnie burzliwe zajścia miały miejsce w Zduńskiej Woli.

W Warszawie mimo środków ochronnych, podjętych przez władze oraz mimo przeciwdziałania endecji, rozpoczął się 24 czerwca strajk powszechny, który trwał trzy dni. Towarzyszyły mu burzliwe demonstracje i zacięte starcia z policją i wojskiem. W kilku punktach miasta na krótki czas zostały wzniesione barykady. Policja aresztowała 680 osób.

25 czerwca zastrajkowały Częstochowa i Lublin, 28 czerwca — Zagłębie Dąbrowskie i Kielce; 3 lipca — okręg puławski, w dniach od 4 do 6 lipca — Siedlce, Kalisz, Suwałki i Płock. Zacięte walki ogarnęły w tych dniach Białystok i miasta przemysłowe okręgu białostockiego. Strajki i demonstracje polityczne objęły również tzw. Kraj Północno-Zachodni tj. Litwę i Białoruś.

Bohaterska walka proletariatu łódzkiego znalazła żywy oddźwięk wśród sfer rewolucyjnych imperium rosyjskiego. W związku z powstaniem zbrojnym w Łodzi i terrorem władz carskich petersburski Komitet SDPRR wydał odezwę, w której wzywał proletariat stolicy carskiej do solidarnościowego strajku. Podobną odezwę wydał komitet moskiewski. Nawoływał w niej moskiewskich robotników do pójścia w ślady proletariatu Łodzi i Warszawy i przygotowania się do walki zbrojnej z rządem carskim.

Obradujący w Rydze zjazd Socjaldemokratycznej Partii Łotwy uchwalił w związku z powstaniem łódzkim rezolucję, wyrażającą solidarność z walczącym proletariatem Polski.

Szeroki oddźwięk i gorącą sympatię wywołała walka robotników łódzkich w narodowościowych okręgach imperium. Odezwa wydana w Baku głosiła: **„W Łodzi i Warszawie dziesiątki tysięcy robotników walczy na barykadach z wojskiem carskim. Za cenę przelanej krwi postanowili uzyskać wolność dla całej Rosji".**

Solidarność z walczącą Łodzią wykazała również prasa socjalistyczna krajów Europy zachodniej. Z artykułem „Walki uliczne w Łodzi" wystąpił niemiecki „Vorwaerts". Austriacka „Arbeiter-Zeitung" podkreślała, że powstanie łódzkie „to największa, najbardziej zaciekła walka w ciągu sześciu miesięcy rosyjskiej rewolucji ludowej". Obszerny artykuł zamieściło węgierskie pismo robotnicze „Nepszava".

Nie ulega wątpliwości, że powstanie łódzkie i związana z nim fala walk czerwcowych proletariatu polskiego **wywarły wielki wpływ na sytuację rewolucyjną w całej Rosji.** W tym właśnie czasie strajkowało 70 tysięcy robotników Iwanowo-Woznieseńska. Walkę strajkową podjął proletariat Jekaterynosławia i Sormowa. 3 lipca wybuchł strajk powszechny w Tyflisie, Kutaisie, Batumi, który wkrótce ogarnął prawie całe Zakaukazie. W połowie lipca zastrajkowali robotnicy Władykaukaskiej kolei, jak również robotnicy Rostowa, Baku, Noworosyjska i in. W Odessie doszło podczas strajku powszechnego do zaciętych walk na barykadach. **Najważniejsze jednak wydarzenie rewolucyjne w owym okresie stanowił bunt na pancerniku „Patiomkin".** 27 czerwca, a więc trzy dni po upadku powstania łódzkiego, na pancerniku załopotał czerwony sztandar. Rozpoczęła się słynna batalia rewolucyjna „Patiomkinowców".

Walka robotniczej Łodzi pokazała — jak stwierdzał W. Lenin — „nie tylko nowe wzory rewolucyjnego entuzjazmu i bohaterstwa, lecz również i wyższe formy walki", dlatego też znalazła ona gorący oddźwięk wśród proletariatu całego imperium rosyjskiego.

ANDRZEJ NADOLSKI

Łowcy złota

Przyznam się, że gdy ukończyłem swój poprzedni szkic, opadły mnie poważne wyrzuty sumienia. Coś ty powypisywał? mówiłem sobie w duchu. Oto promowałeś Ryszarda Lwie Serce na patrona ochrony zabytków, zrobiłeś z niego męczennika świętej sprawy. Na jakiej podstawie? Czy temu zdziercy i rozrzutnikowi (nasz romantyczny bohater łączył harmonijnie obie te cnoty) chodziło o zabytek, o pamiątkę historyczną? Akurat! ani by się o nią zatroszczył, gdyby to nie było... złoto.

Zdobywszy przedmiot fatalnego sporu na pewno zaraz zasiliłby nim wiecznie pusty skarbiec, albo zrobiłby zeń prezent dla jednej ze swych licznych sympatii. Serce miał podobno obszerne i jak na dobrego rycerza przystało, chętnie składał hołdy pięknym damom.

Potem jednak przyszły optymistyczne refleksje. Czyż dzisiejsi archeolodzy nie polują ze szczególnym zapałem właśnie na skarby? Czy nie uważają ich za rodzaj znalezisk specjalnie interesujący? Ob prawda skarbem w rozumieniu archeologii jest każdy zespół przedmiotów ukrytych i cennych, ale cennych dla tego co je ukrył, nie dla szczęśliwego znalazcy. Pojęcia wartości zmieniały się z biegiem wieków, zatem archeolog uzna za skarb pęk sztabek żelaznych, albo nawet kilka brył krzemiennego surowca. Dziś mają one walor ściśle naukowy. Niegdyś mogły być synonimem znacznego bogactwa.

Ale bywają wypadki szczególne, kiedy zabytki mają jednocześnie i znaczenie dla nauki i zupełnie konkretną wartość materialną. Zdarza się tak wówczas, gdy w skład skarbu wchodzą monety, ozdoby czy inne przedmioty ze szlachetnego metalu. Ze srebra, ze złota.

Postawmy sprawę wyraźnie. Złoto w polskich znaleziskach archeologicznych trafia się niezwykle rzadko. Piszący te słowa w ciągu dziewiętnastu lat pracy badawczej trzy razy tylko był świadkiem (i to nie naocznym) odkrycia pojedynczych złotych przedmiotów, całkiem zresztą skromnych. Srebro zdarza się znacznie częściej.

Wśród eksponatów Muzeum Archeologicznego w Łodzi honorowe miejsce zajmuje „skarb" monet arabskich z Klukowicz. Monety takie zwane dirhemami przynosili na nasze ziemie we wczesnym średniowieczu kupcy muzułmańscy przybywający przeważnie z różnych krajów Azji; głównie z Chorezmu. Zainteresowani naukowcy dobrze znają skarb klukowicki; ale mało kto wie jakimi drogami trafił on z odległych Klukowicz do muzealnych zbiorów w naszym mieście.

Zaczęło się bardzo niejasno. Kustosz Działu Numizmatycznego w łódzkim Muzeum dostał przypadkiem wiadomość, że gdzieś w Warszawie czekają na niego informacje o jakichś kędyś odkrytych monetach. Wiadomość taka stawia w stan alarmu każdego prawdziwego numizmatyka. Nasz kolega ruszył natychmiast do stolicy i tak długo odwiedzał po kolei wszystkich znajomych aż wreszcie znalazł się w posiadaniu koperty zawierającej 7 dirhemów i kartkę z adresem ich rzekomego znalazcy. Numizmatyk spojrzał na mapę. Klukowicze? — koło Siemiatycz, na samej granicy polsko-radzieckiej! Był rok 1952 i operowanie w pasie granicznym nie należało do rzeczy prostych ale numizmatyka na tropie niełatwo zrazić. I oto po paru dniach widzimy naszego kolegę jak zaopatrzony we wszystkie możliwe delegacje, przepustki i pisma polecające, objuczony plecakiem, zmęczony niewygodami długiej podróży, oddaje się pod opiekę placówki WOP na pogranicznej stacji Czeremcha. Wopiści uznali jego prawa do poruszania się w terenie i zarekwirowaną podwodą odesłali niecodziennego gościa do Klukowicz. Każda wyprawa dobiega kiedyś kresu więc **i numizmatyk wylądował wreszcie przed progiem gospodarza Ostańskiego. Tak brzmiało nazwisko odkrywcy i posiadacza skarbu.**

Nasz kustosz, to człowiek co się zowie bywały. W owym klukowickim Eldorado czuł się zresztą jak w domu dla tej prostej przyczyny, że pochodzi właśnie z owych odległych stron. Znał tamtejszych ludzi, znał ich polsko-białorusko-ukraińską gwarę, znał specyficzną nieufność wobec przybysza „ze świata". (Kiedyż wreszcie zniknie do reszty na wsi polskiej ta nieufność, smutny owoc lat i wieków pańszczyzny, wojen, ciemnoty, zdzierstwa zaborców, tępoty biurokracji). Wiedział, że prostą drogą nic nie wskóra, spróbował drogi okrężnej.

Pierwszą ćwiartkę spirytusu wylowioną z przepaści plecaka wysuszyli z gospodarzem i gospodynią. Do następnej przysiadł się ten i ów sąsiad zwabiony do chaty okazją poczęstunku. Dalsze — stawiali już miejscowi. Tempo było mordercze i numizmatyk, notabene chory na wątrobę, spostrzegł niebawem, że ściany izby nabrawszy dziwnego życia tańczą na wsze strony, za to towarzysze wypitki zdradzają coraz to słabsze zainteresowanie sprawami tego świata. Pokrzepił się potężnym łykiem niezawodnej wody „Zuber" (miał przy sobie stosowne zapasy) i zebrawszy resztki sił zakłócił błogostan gospodarza niespodziewanym pytaniem: A hdzie tyje hroszy szczo ty znaszou?

„Hroszy" były na strychu, gospodyni wspinała się tam po drabinie (gospodarz właśnie wkraczał w stadium nieważkości) i zamglonym oczom numizmatyka ukazał się — rękaw od kaftana czy kurtki zawiązany na obu końcach i nabity srebrem twardo jak kiełbasa. Pochwycił go w stęsknione objęcia i wraz z wymarzoną zdobyczą ruszył spać na paradnym, gospodarskim łożu. Zostawmy go tam, nieprędko wstanie.

Sami cofniemy się tymczasem do roku 1944. Armia brunatnych Nibelungów wykonując pośpieszny marsz „Zurück nach Vaterland" opuściła właśnie okolice Klukowicz.

ZWIERZENIA archeologa

Ludzie ochłonęli po burzy co przeszła się nad ich głowami i rozpoczęli jesienne prace w polu. Był wczesny, pogodny zmierzch, gdy pług starego Czerupskiego odwalił skibę jakże różną od zwykłych. Aż chlusnęło srebrem spod lemiesza! Stary rozejrzał się wokół — nikogo! Przysypał skarb ziemią, zaznaczył miejsce złamanym biczyskiem, chył kiem wrócił do domu i legł na posłaniu. Długo leżał i myślał. Skarb — na pewno, ale ile wart? Jak go zabrać? jak ukryć? Niech no się tylko wieść o szczęściu rozejdzie, a na pewno odwiedzą go bandyci, których się przez wojnę w okolicy dobrze namnożyło. Nocą, dobrawszy do pomocy i spółki zięcia (właśnie Ostapskiego) wrócił na zaznaczone miejsce. Wydobyli pieniądze, przynieśli do chaty, a następnego dnia stary Czerupski zgodnie z tradycją poszedł po radę — do księdza. Ksiądz obejrzał kilka monet zabranych na pokaz, pokiwał głową. Dziwne pieniądze niedzisiejsze — orzekł. Choć to może i srebro, ale niewiele warte. Chłop się struł, powędrował z kolei do świeckiego autorytetu, do aptekarza w Siemiatyczach. Nauka wydała wyrok zgodny z wyrokiem Kościoła: pieniądze dziwaczne, nie polskie, nie rosyjskie, dolary też nie, pewno chyba żydowskie, bo napisy na nich nie do czytania. Pożytku z nich nie będzie. Teraz już stary Czerupski stracił do reszty serce do swego skarbu, zostawił go u zięcia i nie troszczył się o dalsze jego losy. **Pieniędzmi bawiły się dzieci Ostapskich, rozdawały je kolegom, wieś była pełna arabskiego srebra. Sam Ostapski porobił z monet medale i pozawieszał je na szyjach swoich owiec (wszyscy tam mieli owce jednakie, czarne, stąd zamiany). Gdy przyszło mu razem z żoną jechać na wesele, cała uprząż końska lśniła i dzwoniła dirhemami. Pięknie było! szkoda tylko że się szybko poodrywały i pogubiły...**

Wreszcie sprzykrzyły się gospodarzom poniewierające się wokół srebrniki. Co z nich zostało zsypali w stary rękaw, związali, rzucili na strych. Leżałyby tam może do dziś, gdyby Ostapscy nie wydali córki za mąż, i nie zdobyli się na wystawienie młodym nowej chaty. Jest bowiem w Klukowiczach dawny zwyczaj. Pod pierwszy węgieł rozpoczętej budowy kładzie się na szczęście monety; najlepiej srebrne. O srebrny bilon niełatwo było w pięćdziesiątym drugim roku, przypomniano więc sobie o rękawie na strychu. Majster ciesielski człowiek obyty, który miewał interesy w sąsiedniej Warszawie popatrzył, pokiwał głową i orzekł, że to jednak może być coś warte, że on sam pokaże pieniądze swoim znajomym w stolicy. **Wziął siedem sztuk na próbę. To te właśnie, które przez trzecie osoby trafiły wreszcie pod właściwy adres — do rąk łódzkiego numizmatyka.**

Ale oto i nasz bohater! Budzi się po dwunastogodzinnej drzemce, nową porcją wody „Zuber" krzepi siły nadwątlone w służbie nauki (żart na stronę! pomyślcie o jego chorej wątrobie!) i przystępuje do sfinalizowania swoich zabiegów. Czerupski i Ostapski opowiadają znane nam już szczegóły o swoim odkryciu, wskazują miejsce na polu. **Przeprowadzono tam w następnych latach systematyczne badania wykopaliskowe, które dostarczyły jeszcze kilku dziesięciu monet i szeregu innych szczegółów.** Numizmatyk wypłaca ustawowe znaleźne (wypadło parę tysięcy złotych). Gospodarze są zadowoleni z tej niespodzianki; dawno przestali wierzyć w jakąkolwiek wartość swego skarbu. Łodzianin wypoczęty, nakarmiony, obdarowany zamordowaną ad hoc i oskubaną gęsią wyrusza w drogę powrotną, unosząc ze sobą historyczny rękaw. Wozem Ostapskiego dociera do najbliższej stacji kolejowej. Z pieniędzy wziętych na drogę zostaje mu po wykupieniu biletu równo 100 złotych, wcale nie za wiele na dwudniową podróż.

Przed wagonem pociągu numizmatyk żegna się z klukowickim gospodarzem. I w tej właśnie chwili chłop spogląda prosto w oczy odjeżdżającego. Panie, powiada, powiedz pan prawdę, to przecież nie może być żebyś pan dawał tyle pieniędzy za tę kupę szmelcu. Tu chodzi o coś innego, o co? Łodzianin czuje nagle, że zdobywszy skarb może stracić coś chyba jeszcze cenniejszego. Z całą powagą zapewnia, że chodzi tylko o te stare, nikomu niepotrzebne monety. Z oczu chłopa nie znika podejrzliwość. Panie, mówi wreszcie, jeśli to prawda, to daj mi pan jakiś znak, ot dołóż mi choćby jeszcze 100 złotych, nie więcej. Mnie nie zależy na tych pieniądzach, ale ja chcę WIEDZIEĆ. Chwila namysłu. Ostatnia setka ukazuje się z portfela, przechodzi z rąk do rąk. Pociąg rusza i w pamięci numizmatyka zostaje rozjaśniona ufnością twarz Ostapskiego.

Profesor Witold Hensel napisał kiedyś, bodaj dla „Kultury" artykuł pod tytułem „Archeologia — nowoczesna nauka". Trafny tytuł. Jakaż gałąź wiedzy cieszy się w większym stopniu przywilejem nieustannego konfrontowania przeszłości z chwilą obecną?

Ze świata nauki

ZAMROŻONY ŻOŁĄDEK

— Operacja jest zbyteczna — powiedział ordynator — temu pacjentowi zamrozimy żołądek!

Ta pozornie groźna, niemal makabryczna wypowiedź oznacza w istocie nową, rewelacyjną metodę w leczeniu choroby wrzodowej żołądka i dwunastnicy. Zamiast operacji i kilku tygodni pobytu w szpitalu — półgodzinny, całkowicie bezbolesny zabieg, możliwy do przeprowadzenia w warunkach ambulatoryjnych.

Często występująca choroba wrzodowa, polega na wytwarzaniu się w błonie śluzowej żołądka lub dwunastnicy okrągłego ubytku, który drążąc w głąb staje się przyczyną dokuczliwych i długotrwałych bólów, a nawet groźnych powikłań, jak krwotok lub przedziurawienie do jamy otrzewnej. Powstawanie tych zmian wiąże się z zaburzeniami w wydzielaniu soków żołądkowych. Przedłużone działanie kwasu solnego lub jego nadmierne stężenie powoduje samotrawienie śluzówki, wywołując jej owrzodzenie. Dlatego też leczenie, zarówno zachowawcze jak operacyjne dąży do obniżenia czynności wydzielniczej żołądka. Chirurdzy dawno zorientowali się, że wycięcie samego wrzodu nie prowadzi do celu. Aby osiągnąć trwały rezultat, należy usunąć znaczną część narządu wraz z gruczołami wydzielającymi kwas solny.

W trakcie badań nad hipotermią — sztucznym oziębieniem temperatury ciała ludzkiego, stwierdzono że oziębiony żołądek znacznie obniża swoje czynności. Tak narodziła się nowa metoda lecznicza. Pacjent połyka cienki zgłębnik, na którego końcu znajduje się balon. Następnie balon wypełnia się alkoholem o bardzo niskiej temperaturze i prowadzi się ciągłe przepłukiwanie przez okres kilkudziesięciu minut. Już w trakcie zabiegu ustępują bóle. Objawy chorobowe cofają się na okres sześciu miesięcy i dłużej, a niekiedy dochodzi do trwałego wyleczenia. Niemal zawsze udaje się zatrzymać krwotok żołądkowy. Oczywiście jak we wszystkich nowych osiągnięciach medycznych, tak i tu należy wystrzegać się bezkrytycznego entuzjazmu. Czas i liczne obserwacje wykażą dopiero wartość tego osiągnięcia. Wiadomo też, że nie wszystkie przypadki choroby wrzodowej są podatne na zamrażanie. Mimo to klinicyści bardzo poważnie traktują nową metodę i rokują jej wielkie sukcesy w zwalczaniu jednej z najbardziej częstych chorób współczesności.

MAREK BRONIKOWSKI

JANINA KRZYWOPISZYNA

TRAGICZNE LICZBY

Pewna ewidencja przeprowadzona w czerwcu ub. roku poruszyła swoją wymową władze oświatowe i partyjne: była to po raz pierwszy na polecenie Ministerstwa Oświaty przeprowadzona rejestracja dzieci defektywnych urodzonych w latach 1949—56, wymagających specjalnych metod nauczania i opieki. W skali krajowej wyraziła się ona cyfrą 124.135. Prowadzący rejestrację zastrzegają jednak, że jest ona w rzeczywistości większa, bo nie udało się z różnych przyczyn objąć spisem wszystkich dzieci defektywnych.

Sto dwadzieścia cztery tysiące mieszkańców stanowi duże miasto z całą swoją złożonością gospodarczą, polityczną, kulturalną, ma swoich wielkich i małych ludzi swoje tradycje. Wszyscy mają swoje osobiste ambicje, rozczarowania, triumfy, klęski, plany, swoje oczekiwania na Godota.

Ta ogromna liczba w odniesieniu do dzieci, objętych nazwą „defektywne" wyraża niezawinioną przez nie, wielką przegraną losu. Jest to ogromna rzesza kalek, niewidomych, głuchych, niedowidzących, niedosłyszących, ociężałych umysłowo, debilów, głęboko upośledzonych imbecylów, idiotów itd. itd. Długi tragiczny rejestr.

Jak wygląda zagadnienie opieki i nauki dzieci defektywnych w świetle ustawy?

Mówi o tym art. 20 Ustawy z dnia 15 lipca 1961 r. o rozwoju systemu oświaty i wychowania: „Kształcenie i wychowanie dzieci i młodzieży opóźnionych w rozwoju umysłowym, upośledzonych fizycznie lub umysłowo oraz przewlekle chorych, odbywa się w specjalnych przedszkolach, szkołach i oddziałach przy szkołach podstawowych oraz ośrodkach szkolno-wychowawczych".

Zadanie w zakresie nauczania i wychowania zostało podzielone między resorty: oświaty, zdrowia i opieki społecznej.

Kuratoria i WOiK zobowiązane są do zapewnienia miejsc w szkołach specjalnych dzieciom: głuchym, niedosłyszącym, niewidomym, niedowidzącym, upośledzonym umysłowo w stopniu debilizmu, moralnie zaniedbanym, kalekim, jeżeli leczenie zostało zakończone.

Natomiast Wydziały Zdrowia i Opieki Społecznej powinny zapewnić miejsca w odpowiednich placówkach leczniczych lub zakładach opiekuńczych dzieciom przewlekle chorym, głęboko upośledzonym umysłowo (imbecylizm, idiotyzm) dzieciom o schorzeniach psychicznych i kalekim w okresie leczenia i zaprotezowania.

Ilość dzieci upośledzonych w woj. łódzkim wyraża się suma 9 tysięcy 307. Kuratorium łódzkie podając tę liczbę również zastrzega się, że nie jest ona pełna, gdyż ujęcie stanu faktycznego było niemożliwe z przyczyn zasadniczych: niewystarczająca ilość lekarzy specjalistów w terenie dla przebadania dzieci, w wielu wypadkach niechęć rodziców do zarejestrowania upośledzonego dziecka itp. Mimo stosunkowo już dużych osiągnięć w kraju szczególnie w organizacji placówek dla umysłowo upośledzonych, województwo nasze przedstawia się pod tym względem niekorzystnie. Z podanej wyżej liczby 9.307 dzieci defektywnych opieką wychowawczo-dydaktyczną objętych jest tylko 2 tysiące 286 dzieci, jest to 24,55%, podczas gdy średnia krajowa wynosi 53 proc. Województwo łódzkie znalazło się niestety na przedostatnim miejscu. **Na ten stan rzeczy złożyły się trzy poważne przyczyny: brak pomieszczeń, niewystarczająca ilość nauczycieli przygotowanych do pracy w szkolnictwie specjalnym, oraz brak opieki lekarzy psychiatrów, neurologów i psychologów. Na terenie woj. w 1964 r. powołano trzynaście ośrodków selekcji dzieci umysłowo-upośledzonych.** Ośrodki pracują przy szkołach i klasach specjalnych. W pracy ośrodka konieczna jest opieka lekarza, nawet decyzje podjęte bez opinii lekarskiej nie są ważne. Tymczasem po prostu brak jest neurologów i psychiatrów w terenie i brak również odpowiednich zarządzeń Min. Zdrowia i opieki społecznej ułatwiających angażowanie lekarzy.

Szczególnie ciężka sytuacja jest dzieci na wsi. W wielu wypadkach rodzice nie zdają sobie sprawy z debilizmu dziecka, chodzi sobie do szkoły jako tępe, leniwe, nieposłuszne, któremu według opinii nauka „idzie ciężko", gdyż i nauczyciel często też nie orientuje się w istocie zagadnienia. Dziecko beznadziejnie repetuje klasy, aż wyrośnięte opuszcza szkołę, było ciężarem w klasie i klasa dla niego była ciężarem. Inni znowu rodzice nie mają gdzie swego upośledzonego dziecka umieścić. Składają podania, piszą skargi, zażalenia nawet do najwyższych instancji. **Kuratorium nie jest w stanie nawet w połowie załatwić podań pozytywnie**; np. na terenie woj. jest zbadanych przez AM ponad sto dzieci niedosłyszących w takim stopniu, że nie mogą pobierać nauki w szkole normalnej, nawet przy użyciu aparatów słuchowych. Dla tych dzieci, niestety, województwo nie ma żadnego zakładu, gdyż zakład w Nowym Mieście ma charakter międzywojewódzki *) i jest przeznaczony wyłącznie dla chłopców głuchych opóźnionych w rozwoju. Na dwadzieścia powiatów — siedem nie posiada ani szkół, ani klas specjalnych.

A jak to wygląda w powiatach, które zorganizowały szkoły lub klasy specjalne. — Dla ilustracji:

Kutno — dzieci defektywnych — 496, umysłowo-upośledzonych — 330, 1 szkoła dla umysł. upośledz. 123 uczniów.

Łowicz — dzieci defektywnych — 419, umysł. upośledzonych — 354, 2 izby lekcyjne, pobiera naukę — 31 dzieci.

Radomsko — dzieci defektywnych — 754, umysłowo-upośledzonych — 452, 1 izba lekcyjna, pobiera naukę — 38 dzieci.

Wieluń — dzieci defektywnych 442 w tej liczbie: 305 debilów, 28 słabowidzących, 34 niedosłyszących, 28 kalek, 20 moralnie zaniedbanych, 1 niewidome, 9 głuchych — ani jednej izby lekcyjnej, ani jednego nauczyciela specjalisty.

Na terenie województwa dla upośledzonych umysłowo jest obecnie — 9 szkół podstawowych specjalnych, 10 klas specjalnych oraz dwie szkoły podst. specjalne z internatami; w Zgierzu na 138 uczniów i w Koluszkach na 38 miejsc. W Koluszkach w internacie gnieździ się, gdyż trudno inaczej to określić, 145 dzieci, 2,4 m² na osobę. Lwią część budynku oddanego szkole zajmują jeszcze mieszkania prywatne.

Dla przewlekle chorych zorganizowano dwie szkoły przy sanatorium w Rafałówce i Sokolnikach, oraz jedno przedszkole przy prewentorium w N. Mieście.

Następnie jest zakład dla moralnie zaniedbanych w Łękawie obliczony na 80 miejsc.

Narastającym z dnia na dzień staje się **problem opieki wychowawczej i nauki dzieci i młodzieży moralnie zaniedbanej.** Lista nazwisk zgłaszanych przez sądy i milicję rośnie. Zakład w Łękawie mieszczący 80 wychowanków nie spełnia swego zadania. Przede wszystkim nie ma dobrej kadry wychowawców, nie ma lekarza. Nauczyciele opuszczają zakład, lub nie przyjmują ofiarowywanej im tam pracy głównie z powodu braku mieszkań. Poza tym przebywają tam z chłopcami do lat czternastu, chłopcy dorastający 16—17 -letni.

Ta placówka nadaje się dla młodszych, tak ją zresztą projektowano, natomiast starsi powinni być umieszczeni w mieście lub w pobliżu miasta, żeby mogli szkolić się zawodowo w zakładach przemysłowych, co w Łękawie jest wykluczone, brak miejsca na pracownie, brak w pobliżu zakładów przemysłowych. MRN nie mają ochoty na międzypowiatowe zakłady dla moralnie zaniedbanych, powiadają, że dość mają swoich chuliganów. Należy podkreślić, że **Kuratorium już w latach 1961—64 zwróciło szczególną uwagę na organizowanie nowych szkół i klas dla dzieci umysłowo-upośledzonych,** ponieważ ich jest najwięcej i z nich też w poważnej części rekrutują się moralnie zaniedbani. Dzieci te repetują po kilka lat w normalnej szkole podstawowej, dorastają, w zasadzie nic nie umieją, nie pracują, wałęsają się, niezmiernie łatwo ulegają ujemnym wpływom, kradną, piją, stają się przestępcami. Rewalidacja duchowa tej młodzieży jest trudna.

Jednym z zasadniczych postulatów Kuratorium jest, aby w każdym mieście powiatowym powstała jedna szkoła specjalna z internatem dla dzieci ze wsi. Dzieci miejskie będą dochodziły do szkoły lub też pobierały naukę w klasach specjalnych przy normalnych szkołach podstawowych.

Tu na PMRN spadnie obowiązek wygospodarowania odpowiedniego obiektu. Dlaczego Kuratorium domaga się lokalizacji tego typu szkół w miastach? Rzecz prosta chodzi o to, aby młodzież mogła odbywać praktykę zawodową w fabrykach, a ci, którzy ze względu na kalectwo mogą szkolić się tylko w zakładach pracy chronionej, mieli możność uczenia się zawodu w Spółdzielniach Inwalidzkich, notabene przyuczanie zawodu i zapewnienie pracy tym dzieciom defektywnym, które są mniej zaradne, należy do obowiązków spółdzielni inwalidzkich. **Niestety, spółdzielnie usiłują za wszelką cenę uniknąć wypełnienia tego obowiązku.** Miłym wyjątkiem jest w Pabianicach Spółdzielnia „Dziewian", która od dwu lat prowadzi szkolenie zawodowe absolwentów szkoły specjalnej.

Następnym ważnym problemem **jest kadra nauczycieli dla szkół specjalnych o pełnych kwalifikacjach naukowo-pedagogicznych. W latach** 1965-70, na skutek rozbudowy i przebudowy sieci szkół i zakładów wychowawczych, zajdzie potrzeba zatrudnienia około 150 nauczycieli i wychowawców.

Kuratorium przedstawiło swoje liczne propozycje, postuluje energicznie o opiekę lekarską, zabiega o organizowanie internatów, punktów z klasami specjalnymi.

Trzeba przyznać, że ta pierwsza, wstrząsająca statystyka dzieci defektywnych poruszyła KW PZPR, władze oświatowe, i to właśnie pozwala mieć nadzieję, że sytuacja ulegnie zmianie na lepsze.

Tu już nie przemawiały tylko względy utylitarne, że dzięki kształceniu, szkoleniu zawodowemu, w gromnym procencie odpadnie ciężar wykładania przez państwo pieniędzy, utrzymywania wielu tysięcy nieproduktywnych obywateli, **ale przede wszystkim przemówiły względy humanitarne.** Tyle nieszczęsnych istot wyciągnęło fatalny los życiowy.

Obowiązkiem społeczeństwa jest podać im rękę, umożliwić względnie ludzką egzystencję.

*) **według ustaleń Min. Oświaty**

JULIAN BRYSZ

Pomniki wrócone życiu

Stara to prawda, że budowle są jak ludzie. Rodzą się, rozkwitają, a po bujnym życiu podupadają i giną. Może to porównanie nie jest trafne, gdy chodzi o nowe bloki mieszkalne, tych bliźniaczych młodzików, którzy nie osiągnęli jeszcze wieku jednego pokolenia. Sprawdza się jednak na pewno w odniesieniu do budowli z przeszłością, których mury widziały i słyszały wiele.

Medycyna przedłuża życie ludziom. Ale zabytki architektury też mają swoich lekarzy — konserwatorów. Przy wrócone ich pracą do dawnej świetności, nie tylko stanowią pamiątkę dziejów, lecz również służą potrzebom teraźniejszości.

Ten wstęp był konieczny. Inaczej trudno byłoby zrozumieć sens tego, co stało się w Bykach.

* * *

Na przedmieściu wielkiej metropolii, jaką był Piotrków w XV wieku, przy trakcie wiodącym do Łęczycy, zbudowano zameczek obronny w dobrach królewskich. Nie stworzyli go włoscy mistrzowie renesansu, lecz rodzimi artyści, którzy jednak też mieli smak i gust na miarę epoki Odrodzenia. Sam Piotrków był dowodem rozkwitu renesansowej architektury polskiej, więc i pobliski zameczek w Bykach też na tym skorzystał.

Za jakoweś zasługi dla tronu, królowa Bona podarowała go rodzinie Jaxów. Od nazwy miejscowości, pisali się oni odtąd Jaxa-Bykowski. Jeszcze na początku XIX wieku zameczek był w pełnej krasie, zwiedzał go wówczas Niemcewicz i dokładnie opisał wszystkie jego świetności, z czterema basztami, strzelnicami, murami obronnymi i fosą, a także z obrazem w kaplicy, pędzla jednego z mistrzów renesansowej szkoły włoskiej. Ów obraz dostał się później do kościoła w Błędowie, a stamtąd został wywieziony przez hitlerowców 9 września 1939 roku, niemal nazajutrz po zajęciu wioski.

Gdzieś przed stu laty, zgodnie z losem pisanym większości szlacheckich siedzib, zamek w Bykach zaczął podupadać. W 1927 roku, wraz z „resztówką" gruntu, nabył go działacz chłopski, Maksymilian Czarnecki, o którym zresztą jeszcze dalej usłyszymy. Nie mieszkał tutaj, użytkował tylko ogród, wspaniałe portale i wnętrza zamku szybko szły w ruinę. Dzieło zniszczenia dokonało się podczas okupacji, którą właściciel spędził w obozie hitlerowskim. Po wojnie ów pomnik doskonałości rzemiosła lokalnych mistrzów renesansowych, stał się już tylko zbiorowiskiem cegieł i belek, z którego obficie korzystali okoliczni mieszkańcy. W ocalałych resztkach mieszkał jedyny lokator — tutejszy szewc.

Wtedy już, w latach pięćdziesiątych, toczyły się pertraktacje z p. Czarneckim o odkupienie zamku przez państwo. Cały majątek, którego główną wartość stanowiły piękne drzewa w parku wyceniono na 400 tysięcy złotych. Planowano po odrestaurowaniu urządzić tam składnicę wojewódzkiego archiwum. **Atoli p. Czarnecki stwierdził stanowczo, że od chwili, kiedy wszedł w posiadanie zamku, celem jego życia było urządzić w nim szkołę rolniczą. Dla tego celu gotów jest oddać posiadłość za darmo, zaś o sprzedaży nie ma mowy.**

Trzeba było zgodzić się z wolą właściciela, tym bardziej, że jego myśl leżała na linii jak najbardziej aktualnych potrzeb społecznych. W całej sprawie zaszło tylko jedno drobne nieporozumienie: Otóż kiedy p. Maksymilian przybył na otwarcie szkoły, zdziwił się niepomiernie, zobaczywszy wśród uczniów i dziewczęta. Zastrzegł sobie przecież, że będzie to szkoła męska. Jakoś jednak w końcu się z tym pogodził.

Tak więc dzisiaj, jadąc do Piotrkowa już nie traktem łęczyckim, lecz szosą łódzką, tuż przed tym miastem, w bok od drogi, zobaczyć możemy połyskujące bielą świeżych tynków mury zabytkowego zamku w nowej szacie i nowej roli. Z dala już dostrzega się szlachetność kształtów architektonicznej bryły budynku, a wewnątrz p. Wroniszewski pokaże nam odkryte malowidła ścienne sprzed kilku wieków, belki stropowe liczące setki lat i miejsce po marmurowym kominku, który w ramach centralizacji pamiątek narodowych wywieziony został do Wilanowa.

Nasz cicerone jest — jak łatwo się domyślić — dyrektorem tutejszego technikum, **które rozpoczęło działalność w roku ubiegłym, przyjmując pierwszą grupę 45 absolwentów szkół przysposobienia rolniczego.** W części zamku, gdzie kiedyś były sypialnie gości państwa Jaxa-Bykowskich, urządzono internat. Tu od razu powiedzieć wypada, że technikum w Bykach jest jedną z dwóch szkół w województwie łódzkim, a w ogóle jedną z niewielu w kraju, **umożliwiających dalszą naukę absolwentom tzw. SPR-ów.** Do niedawna jeszcze ta niby — średnia szkoła, mimo obowiązujących w niej dwóch lat nauki, stanowiła jakby „ślepą uliczkę".

Gdy już mowa o charakterze technikum w Bykach, dodajmy, że wśród szkół rolniczych jest ono specyficzne z jeszcze jednego względu, mianowicie z racji usytuowania tuż pod bokiem dużego miasta. Większość szkół rolniczych w naszym kraju ulokowano w małych miasteczkach i wioskach. Młodzież chłopska w ciągu 12 lat nauki nie ma więc okazji zetknięcia się z odmiennym środowiskiem miejskim, z ośrodkami kultury, z wyższym poziomem cywilizacyjnym. **A przecież to właśnie absolwenci techników rolniczych powinni być nosicielami postępu na wsi.** Jak mają to robić, skoro w wielu wypadkach ani nie zaszczepiono im jakichś aspiracji, ani nawet nie widzieli z bliska, jak ów postęp wygląda.

Młodzież z Byków tymczasem bywa stale w piotrkowskich kinach i teatrze, tutaj również korzysta z placówek zdrowia. Idąc na rękę szkole, władze Piotrkowa przedłużyły do Byków linię miejskiego autobusu.

Remont zamku trwał przeszło 6 lat i kosztował niemało, bo około 5 milionów złotych. Niejeden sceptyk powie z pewnością, że za tę sumę można by zbudować nowy gmach szkolny, chyba bardziej funkcjonalny i mniej kłopotliwy w użytkowaniu.

Sceptyk zapomina jednak, że czyniąc zadość współczesnym potrzebom, równocześnie uratowaliśmy od zguby jeden z nielicznych zabytków świeckich na Ziemi Łódzkiej. Jak twierdzi wojewódzki konserwator zabytków — p. Cieklíński, wcale niełatwo było przeforsować odbudowę zamku w Bykach. Jego zdaniem, pietyzm wobec pamiątek historycznych, tak charakterystyczny dla pierwszych lat powojennych, obecnie coraz bardziej zanika.

Na szczęście, w rejonie Łodzi zdążyliśmy już odbudować i zagospodarować **niemal wszystkie cenniejsze zabytki.** Wyjątek stanowi tylko dwór w Lubcu z początków XIX wieku oraz pałac w Ujeździe. W tej chwili trwa jedna z największych inwestycji „zabytkowych". Mowa tu o zamku w Uniejowie nad Wartą. Był on przed rozbiorami siedzibą arcybiskupów gnieźnieńskich, po powstaniu listopadowym został nim obdarowany carski generał Toll za zasługi w tłumieniu Insurekcji. W posiadaniu tej rodziny pozostał aż do 1936 roku, kiedy to odkupił go rząd polski. W czasie II wojny uległ dalszemu zniszczeniu, a później pełnił niechlubną rolę magazynów GS-u. **Za rok odbudowa zostanie zakończona, powstanie tutaj ośrodek wypoczynkowy ZMS-u dla kilkuset osób, wzorowy obiekt z własną plażą, przystaniami, pięknym parkiem.**

To najlepszy przykład, jak bardzo pożyteczną rolę spełniają dziś ocalałe budowle zabytkowe. Można zresztą przytoczyć wiele innych, równie znaczących przykładów. **W Chorzenicach pod Pajęcznem lamus z końca XVII wieku jest dziś siedzibą szkoły, przedszkola i klubu ludowego. Na szkoły wykorzystano również dawne zamki i pałace w Poddębicach, Pajęcznie, Walichnowach k. Wieruszowa.**

Obok zabytków pierwszego rzędu, jak łęczycki tum czy pałac w Nieborowie, i te lokalne pamiątki historyczne współtworzą dzisiejszy krajobraz naszego regionu, są jakby punktem styku z narodową historią, której ślady cywilizacja przemysłowa tak skutecznie zaciera. A przez swoje zadbanie i właściwe wykorzystanie dowodzą również, iż posiedliśmy umiejętność mądrego gospodarowania. Taką ocenę można na ogół wystawić każdemu, kto potrafi łączyć piękne z pożytecznym.

Dalszy ciąg ze str. 1

się potrawy chińskie, w „White Tower" drogie potrawy greckie, lepsze niż cokolwiek, co można dostać w Atenach; w węgierskiej „Csarda" i „Budapest" współczesna węgierszczyzna; w „Gay Hussar" styl austro-węgierski; w „Curry Centre" pełne polotu potrawy hinduskie; w „Istambule" tureckie, w „Casa-Pepe" po hiszpańsku, a u Maurera wypycha się brzuch, jak to niemieckim zwyczajem przystało. U Scotta i Wheelera, wyspecjalizowanych w daniach rybnych, jada się zdecydowanie po angielsku, chociaż i ten ostatni, zachowując międzynarodowy charakter dzielnicy, zatrudnia chińskiego szefa kuchni, którego curry z homara warte jest zboczenia z zaplanowanej drogi.

Wzdłuż południowej granicy Soho znajduje się kilka teatrów. Jest to Shaftesbury Avenue, ojczyzna angielskiego dramatu komercyjnego, gdzie wysokiej klasy aktorstwo marnotrawione jest na drugorzędne sztuki. W górze, w północno-zachodnim kącie Soho, tuż koło Oxford Circus, położona jest ostatnia cytadela wodewilu, londyńskie Palladium, która u schyłku lat czterdziestych zdobyta została przez napierające talenty amerykańskie.

Te potężne świątynie rozrywek nie są jednak typowe dla Soho. Jest ono przede wszystkim dzielnicą małych domków, w których małe pomieszczenia służyć mają małym przyjemnostkom. Tu mieszczą się najjaśniejsze przybytki strip-teasu i najciemniejsze kluby z popołudniowym wyszynkiem, jedne i drugie chronione przez niektórych najbardziej skorumpowanych funkcjonariuszy policji londyńskiej. Gry hazardowe są nieodłącznym atrybutem tej dzielnicy, a ulice wokół lokali bukmacherów zatłoczone są postaciami w dwurzędowych, pasiastych garniturach.

Dla walki z korupcją jest pod ręką satyra: w „The Establishment" na Greek Street, reklamowanym jako „Pierwszy nocny klub satyryczny Londynu"; w pomieszczeniach redakcyjnych kilka drzwi, dalej znajduje się „Private Eye", najbardziej złośliwy magazyn jaki znaleźć można w sprzedaży w zachodnim świecie. „The Establishment" założony został przez Peter Cooka (redaktora innego popularnego magazynu p.n. Beyond the Fringe — przyp. tłum.), a „Private Eye" był właśnie tym magazynem, który określił Churchilla jako „największego, umierającego Anglika" i wydrukował zastrzeżone tajemnicą państwową nazwiska i adresy kierowników brytyjskiej służby bezpieczeństwa, Wydziału Specjalnego i M.I.5 (wywiad wojskowy — przyp. tłum.). Mówi się powszechnie, że jak tylko „Private Eye" stanie się bardziej zasobny (jego obecny nakład wynosi tylko 20 tys. egzemplarzy) tuziny boleśnie dotkniętych ofiar tego pisma, rzucą się na nie z pozwami sądowymi o odszkodowanie. W międzyczasie „The Establishment" spoczywa na laurach, które zdobyło w 1962 r., kiedy to Lenny Bruce (znany estradowiec amerykański — p. tł.), występował w tym klubie. Jego monologi wzburzyły tak wiele osób, że kiedy rok później przyjechał znowu na cykl występów, rząd brytyjski deportował go jako uciążliwego cudzoziemca.

Jazz jest następną z podziemnych sztuk Soho. Muzycy spotykają się i zawodzą nie tylko w znajdującym się w piwnicy klubie jazzowym Ronnie Scotta przy Gerrard Street (notabene najlepszym w swoim rodzaju w Londynie), lecz również na zewnątrz Londyńskiego Stowarzyszenia Orkiestrowego na Archer Street.

Zawsze chwiejący się i hałaśliwy Dylan Thomas zwykł nawiedzać Mandrake Club; Francis Bacon zaś, ten najbardziej lunatyczny malarz Anglii, spędza swoje wolne popołudnia w Colony Club, wyglądając dwadzieścia lat młodziej niż wskazywałyby na to jego pięćdziesiąt kilka lat. Gdyby nie było Soho, sztuka i literatura Wielkiej Brytanii nie miałyby realiów metropolii. Jest ono rodzajem kurortu osiągalnego w każdej chwili dla artystów, którzy nie mogą pozwolić sobie na wyjazd za granicę.

W Soho mieszka tylko 4 tysiące osób, większość z nich w gregoriańskich i wiktoriańskich czynszówkach. Niewiele budynków ma więcej niż cztery piętra wysokości. A mimo to stały się one nietykalne dla apetytów licznych rekinów budowlanych, od czasu gdy Rada Miejska Londynu zabroniła budowy pomieszczeń biurowych w miejscach, gdzie one do tej pory nie istniały. Gdyby zniesiono to zarządzenie cała dzielnica zostałaby starta z powierzchni ziemi w ciągu kilku miesięcy, a na jej terenie powstałyby szkliste drapacze nieba. Parcele na Soho należą do najdroższych w całym Londynie. Z kapitalistycznego punktu widzenia mogłyby one więc być znacznie „produktywniej" wykorzystane: dlaczego więc stan obecny wart jest zachowania? Dokładnie rzecz biorąc dlatego, iż nie służy on żadnym innym interesom, poza swymi własnymi. Soho jest ujściem dla pragnących rozrywki, oazą nonkonformistycznej myśli. Jego zaletą i cnotą jest niezależność, bez której w szybkim tempie poddałoby się ono anonimowej monolistyczności.

Wcześniejsi pisarze mieli na ten temat mniej romantyczne poglądy od moich. W „Ponurym Domu", który ukończony został w 1853 r. Karol Dickens określił Soho jako wylęgarnię bezwzględnych przestępców.

„Wielu z nich nie należy do wstających wcześnie, w pełnym blasku dnia. Są oni jakby ptakami nocy, które śpią, gdy słońce jest wysoko, a ożywiają się żądne łupu, gdy zaświecą gwiazdy. Za brudnymi okiennicami i zasłonami, na górnych piętrach i poddaszach, w mniejszym lub większym stopniu kryjąc się pod fałszywymi nazwiskami, sztucznymi włosami, fałszywymi tytułami, fałszywą biżuterią i nieprawdziwymi opowieściami, kolonia rozbójników spoczywa w swym pierwszym śnie".

Powyższe poprzedziło zdanie wypowiedziane o Soho około 60 lat później przez G. R. Simsa: „Jest to miasto udzielające schronienia terrorystom z Kontynentu, którzy zbiegli przed własną policją". Sto lat po Dickensie, młodzieńczy narrator z powieści Colina McInnes pt. „Absolute Beginners" wypowiada zupełnie odmienny sąd:

„A teraz o Soho co następuje: chociaż tak wiele bredni napisano o tym miejscu, myślę że ze wszystkich dzielnic Londynu ta właśnie jest jedną z najbardziej autentycznych. Uważam, że Mayfair (obecnie najelegantsza dzielnica Londynu — p. tł.) jest po prostu niebieskim ptakiem wchodzącym w pantofle dawnego ziemiaństwa, a Belgravia... to mieszkania do wynajęcia w domach zbudowanych jak pałace, a Chelsea — no cóż! Spróbujcie przypatrzeć się sami przy najbliższej okazji. Lecz w Soho, wszystko o czym mówią, że tam się dzieje, dzieje się naprawdę: wszystkie upodobania wynaturzone do rozmiarów grzechu, nielegalne knajpy, mówcy i przyjaciele, którzy krają się nawzajem na kawałki — a z drugiej strony kochani, starzy Włosi i mili starzy

SYNTEZA SOHO

wiedeńczycy, którzy prowadzą nieugięcie swoje uczciwe, małe interesy, biorąc swój początek od czasów Jerzego VI czy V, a nawet sięgając często dalej wstecz. A co więcej — chociaż chodniki wypełnione są zbiegami jeśli tylko nie wtrącasz się w nie swoje sprawy, jest tu znacznie bezpieczniej, niż na mieszczańskich przedmieściach. To nie na Soho jakiś maniak seksualny wyskakuje nagle zza żywopłotu i skacząc swej ofierze na plecy, gwałci ją. Dzieje się to zwykle w tych dzielnicach, gdzie chodzi się jedynie spać..."

Takie jest właśnie Soho, jak je rozpoznają dzisiaj. Aż do połowy XVII wieku znajdowało się tu otwarte pole, a zawołanie „So-ho!" wykrzykiwane było w celu odwołania psów przez myśliwych polujących na lisy. Około 1680 roku obszar ten był już zabudowany, lecz kiedy Duke of Monmouth, który mieszkał na Placu Soho, zbuntował się przeciw swemu naturalnemu ojcu, Karolowi II, w dalszym ciągu używał „So-ho!" jako swego bojowego zawołania. Został on ścięty w 1685 r. W tym samym roku Francuzi unieważnili Edykt Nantejski, który chronił do tej pory dysydentów przed prześladowaniami. Rezultatem był masowy exodus Hugenotów, z których wielu osiedliło się w Soho. Byli oni pierwsi, którzy schronili się pod jego opiekuńczymi skrzydłami. Od tego czasu, przez 200 lat, a nawet więcej, Soho udzielało schronienia artystom z politycznymi przekonaniami i politykom o artystycznych duszach. Na Gerrard Street mieszkał John Dryden, podobnie jak Edmund Burke podczas procesu Warren Hastings. Canaletto zatrzymał się na Beak Street, a Casanova na Greek Street, gdzie wkrótce potem De Quincey obrał również dla siebie mieszkanie. Tawerna „Pod Głową Turka", która przeniosła się z Greek Street na Gerrard Street, udzielała swych pomieszczeń na cotygodniowe zebrania klubu literackiego założonego przez Burke'a, Dr Johnsona i Joshua Reynoldsa. Filozof Dawid Hume miał swoje pokoje na Lisle Street (obecnie centrum prostytucji). Tam to właśnie również wielki aktor Edmund Kean spędził większość swych lat młodzieńczych, mieszkając ze swym wujkiem Mojżeszem, który kazał mu nosić na szyi mosiężny kołnierzyk z napisem: „Ten chłopiec należy do Nr 9 przy Lisle Street, Leicester Square." Hazlitt, biograf Keana i niewątpliwie najlepszy krytyk teatralny jaki żył kiedykolwiek, miał swe mieszkanie na Firth Street i pochowany został na cmentarzu kościółka Św. Anny. Szerydianie (Richard Brinsley i jego żona) mieszkali również na Firth Street, podobnie jak Lord Macauley oraz najbardziej imponujący aktor i dyrektor okresu wiktoriańskiego William Charles Macready.

Zawodowy przemysł rozrywkowy wkroczył na Soho w połowie XVIII w. W maju 1764 r. ówczesne gazety donosiły o przybyciu do miasta cudownego dziecka. Za pięć szylingów od głowy, damy i gentlemeni mogą „skorzystać z okazji i wypróbować jego talent przez danie mu jakiegokolwiek bądź utworu do zagrania prima vista, lub muzyki bez basów, którą napisze na poczekaniu bez posługiwania się klawesynem." W ten sposób powitany został ośmioletni Wolfgang Mozart, który zatrzymał się ze swym ojcem i siostrą pod numerem 20 przy Firth Street.

Twórcy historii oraz posiadacze poważnych nazwisk z zakresu polityki i literatury nie zamieszkują już Soho; nie jest to już obecnie ani dostatecznie szacowne miejsce dla prominentów, ani dostatecznie tanie dla wkraczających w karierę nowicjuszy. Estradowcy, przekupnie i drobni przedsiębiorcy tworzą główny człon mieszkańców tej dzielnicy. Towarzystwa filmowe mają tutaj swoje główne kwatery; Wardour Street jest jedną długą galerią przyciągających uwagę fotosów, mrugających do siebie porozumiewawczo poprzez ruch uliczny, względnie śmiejących się z siebie szyderczo. Golden Square mieści w swym obrębie przedsiębiorstwo telewizyjne Granada, które obejmuje swym zakresem północną Anglię i posiada najliczniejsze grono odbiorców z wszystkich komercyjnych sieci telewizyjnych; kilka bloków dalej, pod numerem 22, przy Firth Street, John Baird przeprowadził w roku 1926 pierwszy, udany pokaz telewizyjny. Jednak pomimo najazdu przemysłu rozrywkowego, Soho nigdy nie mogłoby być określone jako ośrodek wielkiego businessu.

Jest ono bardziej podobne do szeroko rozpostartego bazaru, dogodnego miejsca handlu wymiennego i targów, przy czym większość transakcji prowadzona jest raczej przy bufetach barowych, niż przy urzędowych biurkach. Zgodnie z tym jedna z bardziej uczęszczanych ulic, Berwick Street, wypełniona jest po brzegi przez jedyny na West Endzie rynek na otwartym powietrzu. Sprzedaje się tu owoce, szpilki do włosów, kwiaty, warzywa, pończochy — w zasadzie wszystkie drobiazgi, nadające się do jedzenia lub noszenia.

Z punktu widzenia kultury, Soho straciło wiele w ostatnich pięćdziesięciu latach; pozostaje ono jednak ośrodkiem przynajmniej czterech rodzajów sztuki o charakterze międzynarodowym — sztuki kulinarnej, jazzu, strip-teasu i zorganizowanej przestępczości. Zajmowałem się dłużej sztuką kulinarną i przebiegłem pośpiesznie jazz; erotyka i przestępczość są nieco bardziej skryte, choć nie za bardzo.

Do niedawna różne gangi swobodnie buszowały po ulicach Soho. Jack Spot, boss tej dzielnicy, został kilka lat temu publicznie i w biały dzień pocięty brzytwą i tym samym zmuszony do przejścia na emeryturę. Zaraz po tym jednak zjawiła się na to miejsce inna grupa. Gangi ochronne, podobnie jak w większości dużych miast, są tutaj głównym źródłem dochodów. Grzech był swego czasu równie zyskownym zajęciem. Dziewczyny miały zwyczaj stawać w szeregu obok drzwi wejściowych zachęcając delikatnie: „Spisz dzisiaj kochanie samotnie?", lecz od czasu zarządzenia o wykroczeniach ulicznych, które karze napastowanie więzieniem, wszystkie prostytutki wycofały się w zacisze swych pokoi i dziś jest już zjawiskiem dość rzadkim znalezienie na tablicach ogłoszeniowych anonsów w rodzaju „Masaże u Miss Birch" lub „Lekcje francuskiego u surowej guwernantki".

Przywiązane niegdyś do miejsca, dziewczęta z Soho stały się ostatnio bardziej ruchliwe. Każdego dnia, począwszy od południa, można zobaczyć je spieszące z jednego lokalu strip-teasowego do drugiego. Bardzo często potrafią one jednego dnia podzielić swój czas pomiędzy 6 klubów. Na zewnątrz wielu innych drzwi wejściowych na Soho stoją usłużni naganiacze, zachęcając do wejścia i gwarantując udostępnienie zupełnej nagości. Niektóre z tych miejsc, jak na przykład bar rewiowy Raymondsa, są nawet względnie przyzwoite. Drugi z kolei Gargoyle Club na Dean Street, znany w przeszłości ze sporów literackich i wyłożonej lustrami sali jadalnej, zaprojektowanej przez Matisse'a, słynie teraz głównie z występów kabaretowych. Składają się one z rozbierających się bez entuzjazmu dziewcząt i konferansjera, który kwituje każdy przejaw anemicznych oklasków uwagą: „Dziękuję panom za ten szaleńczy wybuch obojętności." Są inne kluby, mniej przyzwoite i dzięki temu bardziej zatłoczone. Do nich należą na przykład Phoenix na Old Compton Street i Sunset Strip na St. Anne's Court. W obu z nich można mieć okazję podziwiania pulchnej i jakby pozbawionej kości Gypsy del Rio, ciemnowłosej gimnastyczki, która rozkoszuje się swą pracą, a za przykrycie nie służy jej nic godniejszego wzmiankowania, poza leukoplastem.

Wychodząc popołudniem z takich eskapistycznych kryjówek, przyzwyczajać trzeba wzrok do szarej i grożącej deszczem atmosfery Soho. Gdzieś na chodniku weteran jednej z wojen z zapałem wybija takt dwoma łyżkami przy akompaniamencie jednorękiego akordeonisty, a tuż obok samotny trębacz przedziera się, w sobie tylko właściwy sposób, przez nieco bardziej znane tony „Annie get your gun" (Aniu wydobądź swój rewolwer), tyle że o pół tonu za nisko. W międzyczasie strip-teaserki przemykają się ulicami w swych obcisłych spodniach i z podręcznymi torbami zawierającymi następne trzy zmiany kostiumów. Peruki, hamburgery, parówki, zagraniczne płyty, pornografia, czarny jedwab, krawaty a la Jaques Faith, buty z cholewami, skandynawskie magazyny pornograficzne i film „Jak zdobyto Zachód", wszystko to jest dostępne na miejscu — różnorodność brudów i przekupstwa, niezwykłości i przeciętności, rzemieślników i wydrwigroszów, wciśniętych razem w kilka tuzinów nieregularnych bloków i porozumiewających się ze sobą (względnie nie mogących się wcale porozumieć) we wszystkich językach świata.

Czymś, czym Soho ostatecznie zdobywa sympatię w moich oczach jest fakt, że jego skala wartości jest ludzka a nie komercyjna. Jest to miejsce, gdzie każdy, bez względu na swą narodowość może spacerować swobodnie i nie czuć skrępowania ani kompleksu niższości. Jest to rodzaj anglo-saksońskiego sanktuarium — cieniutko pokrytego transatlantycką powłoczką — w którym zachowane są pozostałości owego praktycznego, hedonistycznego i w gruncie rzeczy wygodnego stylu życia, który narodził się przeszło pięćset lat temu na północnych brzegach Morza Śródziemnego i który znany był w okresie swego rozkwitu jako zachodnia cywilizacja. Soho swobodnie obnosi swą przeszłość i nie kryje się ze swą teraźniejszością. Myślę, że gdybym był historykiem ruchów społecznych, udałbym się tam w poszukiwaniu źródeł, albowiem Soho odzwierciedla w miniaturze wszystko to, co aktualnie dzieje się, w sensie pozytywnym i negatywnym, na wielkim forum Europy zachodniej.

Przełożył z angielskiego: Z. J. KOZ.

NAD ŁABĄ RENEM i NECKAREM

Dalszy ciąg ze str. 1

BERLIN ZACHODNI

Wysiadam na dworcu Zoologischer Garten i wychodzę na miasto. Byłem tutaj w 1947 roku. Jestem ogromnie ciekaw, jak wygląda Kurfuerstendamm — najokazalsza handlowa dzielnica Berlina. Wtedy była ona martwa. Wypalone domy straszyły pustymi wnętrzami. Przed dworcem grupka gapiów. Jakaś panienka w białym modnym płaszczu pozuje do zdjęć. Nietrudno się domyślić, że to reklama dla jakiegoś magazynu mody. Mijam tłumek ciekawskich i za kilka minut jestem na Kurfuerstendamm. No tak, to było do przewidzenia. Pysznią się odbudowane domy, zasobne sklepy i magazyny zachęcają, by wejść do wnętrza. Na zapleczu stragany, z których rozlegają się głosy: „Zachadi siuda!", „Panie, proszę do nas!" itp. Ale ja niczego nie kupuję, bo nie mam potrzeby. W kiosku nabywam pękaty tygodnik „Die Zeit" i wchodzę do kawiarni. Bolą mnie nogi. Kilka stolików wystawiono na chodnik, bo dzień ciepły i słoneczny. Siadam i rozwijam gazetę. Duży wywiad z W. H. Audenem, który przebywał pół roku w Berlinie zachodnim jako stypendysta fundacji Forda. Rzucam się na jego wypowiedź. Poznałem Audena przed sześciu laty w Wiedniu, interesuje mnie jego opinia o niemieckim mieście. Auden: „Naturalnie Berlin dzisiejszy jest o wiele bardziej prowincjonalny, niż dawny z lat trzydziestych. Nie ma w nim po prostu tej berlińskiej atmosfery, którą miał niegdyś. W dawnym Berlinie nigdy nie mogłem rozpoznać cudzoziemców, ponieważ bardzo szybko się aklimatyzowali. Dzisiaj przeciwnie: cudzoziemca rozpoznaje się natychmiast". Na pytanie dziennikarki, co sądzi o Niemcach, Auden odpowiada, że wciąż jeszcze daje o sobie znać niemieckie besserwisserstwo. Oto przyjechał do Berlina zachodniego na dłuższy pobyt profesor Eric Bentley z Columbia-University w Nowym Jorku. Gdy udał się na policję, by się zameldować, urzędnik spytał go o zawód. „Profesor", odpowiedział Bentley. Urzędnik obrzucił go niedowierzającym spojrzeniem: „Na profesora jest pan za młody, najwyżej może pan być docentem". Co powiedziawszy, wpisał do odpowiedniej rubryki „docent".

Niestety, nie będę mógł się zobaczyć z Guenterem Grassem — z pewnością najwybitniejszym autorem Grupy 47. Właśnie wyjechał na cykl spotkań literackich do Bundesrepubliki. Może uda mi się dopaść go w dalszej mojej podróży. Po krótkim odpoczynku idę na zwiedzenie „Hansaviertel", gdzie stoją gmachy projektu wybitnych architektów współczesnych: Corbusiera, Wrighta, Arpa i innych. To jest ciekawe. To jest bardzo ciekawe. Domy „na kurzych stopkach", z klatkami schodowymi na zewnątrz, oryginalne dachy. Trudno się z tym oswoić. Ogromnie śmiała myśl architektoniczna, zrywająca całkowicie ze znanymi nam wzorami. Eksperyment na dużą skalę. Na 481 kilometrach kwadratowych Berlina zachodniego mieszka obecnie 2.186.856 ludzi.

HAMBURG

Koledzy mówili do mnie: gdy będziesz w Hamburgu, pojedź koniecznie na Sankt Pauli. To dzielnica strip-teasu. Nie pojechałem tam. Ale gdy im o tym mówię — nie wierzą mi. Trudno. Niech nie wierzą. Hamburg, największe miasto NRF (dwa miliony mieszkańców), położony pięknie nad dwiema rzekami Łabą i Alster, jest nie tylko wielkim portem. Jest także metropolią prasy niemieckiej. Ukazuje się tutaj 20 gazet codziennych i czasopism o łącznym nakładzie jednorazowym dwadzieścia milionów egzemplarzy, wśród nich takie czasopisma jak „Constanze", „Film und Frau", „Die Zeit", „Der Spiegel", które można od czasu do czasu nabyć również w naszych Klubach Międzynarodowej Prasy i Książki. Potentatem „gazetowym" jest Axel Springer, właściciel koncernu wydającego siedem pism codziennych i periodycznych, w tym największej „rewolwerówki", grającej na najniższych instynktach, pn. „Bild" w nakładzie ponad cztery miliony egzemplarzy. W Hamburgu mieszkają setki dziennikarzy, którzy w poszukiwaniu chleba przybyli do tego hanseatyckiego miasta z różnych połaci Niemiec. Jeden z nich powiedział: „W Hamburgu dobrze mi się pracuje, ale nigdzie indziej nie czuję się tak obco, jak tutaj".

Wydarzeniem artystycznym Hamburga stała się wystawa malarstwa, grafiki i projektów scenograficznych Oskara Kokoschki. Trafiłem na jej otwarcie, na które przyjechał także sam mistrz ze swej posiadłości nad Jeziorem Genewskim. Oskar Kokoschka, liczący sobie 79 lat życia, jest uosobieniem żywotności i poczucia humoru. W księdze pamiątkowej miasta napisał: „Hamburczycy są najlepszymi dżentelmenami, tuż zaraz po Anglikach". Pomyśleć tylko, że debiutanckie jego prace pochodzą z pierwszych lat naszego stulecia. Kokoschka, który ponadto jest autorem paru dramatów, to cała epoka w sztuce. Jego słynna „Szkoła widzenia", założona przed kilkunastu laty w Salzburgu, ściąga rokrocznie na letnie semestry adeptów sztuki z wielu krajów Europy i świata. Wystawa robi ogromne wrażenie, a film o jego życiu i pracy, pokazywany w czasie trwania wystawy, uzupełnia obraz tej bogatej i barwnej osobowości twórczej. Na otwarcie wystawy przyszedł również nestor zachodnioniemieckiej krytyki literackiej — Willy Haas, pisujący stale felietony tygodniowe i liczne artykuły w „Die Welt". Z Haasem spotkałem się nazajutrz w jego redakcyjnym gabinecie. Kiedy mu oświadczyłem, że czytuję stale jego rzeczy w „Die Welt", który to dziennik jest w Polsce dostępny, odpowiedział: „Wcale mnie to nie dziwi. Polska była przecież zawsze krajem cywilizowanym". Zapytuję go o kontakty z Polską i jej kulturą.

— Kiedyś w młodości czytałem tom dramatów Wyspiańskiego po niemiecku, czytałem także Reymonta. Ale najsilniejsze wrażenie zrobiła na mnie „Trybuna Ludów" Mickiewicza, którą mam w dwu wydaniach: francuskim i niemieckim. Proszę nie zapominać, że urodziłem się w Pradze, że należę do tzw. Prager-Kreis i związki ze Słowiańszczyzną grały zawsze w moim życiu pewną rolę. Ale najciekawszą rozmowę w Hamburgu miałem z Martinem Beheim-Schwarzbachem, pisarzem starszego pokolenia, który urodzony i wychowany w Anglii (przebywał tam również w latach hitleryzmu) prowadzi angielski styl życia. Poczęstował mnie whisky and soda i z dumą pokazał mi przełożoną na język polski swoją powieść „Gwiazda Burgundii". Beheim-Schwarzbach jest także autorem przekładu na niemiecki „Przeminęło z wiatrem". Wydawca zrobił na tej książce majątek, a on, tłumacz, nic z tego nie ma. Martin Beheim-Schwarzbach zawarł z wydawcą umowę na jednorazowe wynagrodzenie pieniężne plus paczka cygar hawańskich. Któż mógł wtedy przewidzieć, że „Przeminęło z wiatrem" okaże się największym bestsellerem? Powieść Margarety Mitchel wciąż jest wznawiana, wydawca się bogaci, lecz tłumacz nie ma z tego żadnych materialnych korzyści. Martin Beheim-Schwarzbach żyje skromnie, z czym się wcale nie kryje.

Martin Beheim — Schwarzbach

— Zdziwi się pan, gdy powiem, że największe powodzenie z moich książek miała rzecz o szachach. Ale to przecież nie jest powieść. Napisałem ją, bo sam jestem szachistą i od lat pasjonują mnie rozgrywki szachowe. Ale u nas w Niemczech intelektualiści nie uprawiają gry w szachy.

W tym momencie widzę nasz Klub Literatów na Krakowskim Przedmieściu, gdzie „szaleją" szachiści z Jerzym Putramentem na czele. Mówię o tym Beheim-Schwarzbachowi. Uśmiecha się. Rozmowa schodzi na sprawy aktualnej sytuacji w literaturze niemieckiej. — Po śmierci Tomasza Manna zostało puste miejsce. Nikt tego miejsca nie zajął. Nie ma w NRF pisarza tej miary. Oczywiście wielu jest twórców utalentowanych, lecz żaden z nich nie zdobył sobie autorytetu i sławy tak wielkiej jak autor „Czarodziejskiej góry". Najbardziej ruchliwi są pisarze z Grupy 47. Nie odmawiam im talentu i osiągnięć. Ale jak na mój gust za wiele czynią wrzawy i reklamiarstwa. Poza tym nie odpowiada mi to rozbicie języka, które np. Grass i jemu podobni stosują w swoich utworach. Mam inne upodobania. Zresztą jestem pisarzem staromodnym. Na ich chwałę trzeba zapisać, że są to autorzy o nastawieniu antyfaszystowskim. Bo działają tu także pisarze - nazi. Nie ma co prawda wśród nich zjawisk literackich przedniej klasy, ale wydają książki i są czytani. Nie przynosi to chluby naszej sytuacji. Co do mnie — odczuwam wyraźnie brak autorów pochodzenia żydowskiego, którzy w życie kulturalne Niemiec wnosili zawsze niepokój i ferment intelektualny. A także lekkość, której my, jak wiadomo, nie posiadamy.

Na stole widzę pisma Conrada, m. in. książkę jego wspomnień „Ueber mich selbst" w ładnym wydaniu S. Fischera. Pytam, co sądzi o Conradzie. Beheim-Schwarzbach odpowiada: — „O tak, bardzo Conrada lubię. To bez wątpienia najwybitniejszy pisarz angielski dwudziestego wieku. Wydawnictwa niemieckie przysyłają mi jego książki, które recenzuję zazwyczaj w „Die Welt der Literatur". Conrad to pański ziomek. Chciałbym kiedyś pojechać do Polski. Zwłaszcza teraz, kiedy w Warszawie opublikowano moją powieść, nadarza się okazja po temu".

DÜSSELDORF

Duesseldorf to przede wszystkim Henryk Heine. Tu się urodził, tutaj chodził do gimnazjum. W „Buch Le Grand" napisze w wiele lat później: „Miasto Duesseldorf jest bardzo piękne, i kiedy myśli się o nim na wygnaniu i jest się przypadkowo w nim urodzonym, przenika człowieka dziwna błogość. Ja tam się właśnie urodziłem i mam takie uczucie, jakbym zaraz musiał udać się do mego domu". Oglądałem dom Heinego przy Bolkestrasse oraz archiwum jemu poświęcone, w którym znajdują się przekłady jego dzieł na wszystkie języki świata, nawet na azerbejdżański. Nie ma tylko przekładów polskich. Trudno zrozumieć, dlaczego.

A dziś? Jakież jest to miasto dziś? Gdym przyjechał do Duesseldorfu, dziennikarze mówili do mnie: „Duesseldorf to bank Nadrenii i Westfalii, to niemieckie Chicago. Nie ma tu pisarzy, nie ma wydawców. Po co pan tu przyjechał?". A jednak nie żałowałem tego. Chodziłem nad Ren, który płynie majestatycznie, powoli, pełen statków i ładownych barek, kursujących w obydwie strony. Od Duesseldorfu Ren będzie mi teraz towarzyszył w podróży. W Duesseldorfie mieszka Hans Joachim Orth, autor wielce sympatycznej książki o Polsce pt. „Z tej i z tamtej strony Wisły". Opowiadano mi, że tenże autor napisał nową rzecz o naszym kraju, w której nie szczędzi krytyki niemieckiej polityce zagranicznej, ale właśnie dlatego ma trudności z jej opublikowaniem. W Duesseldorfie ukazuje się tygodnik „Deutsche Volkszeitung", mocno krytycznie nastawiony do rzeczywistości zachodnioniemieckiej. W Duesseldorfie dwaj dzielni ludzie, Paul Wolf i Kurt Schnorring, wydają „Deutsch-polnische Hefte" (Zeszyty niemiecko-polskie), popularyzujące naszą sztukę i kulturę. W radzie Towarzystwa do Kontaktów Kulturalnych z Polską, wydającego wspomniane czasopismo, zasiadają wybitni profesorowie i działacze, którym leży na sercu sprawa właściwego naświetlenia życia współczesnej Polski i zbliżenia do niej postępowych odłamów społeczeństwa niemieckiego.

Przeglądałem listę prenumeratorów „Deutsch-polnische Hefte". Jako jeden z pierwszych widnieje na niej Guenter Grass, obarczony — jak wiadomo — kompleksem polskim. Widać to zarówno w jego powieściach, w których występują liczne postaci i realia polskie, jak i w jego wierszach („Polska chorągiew", „Pan Kichot"). Będąc w Duesseldorfie natrafiłem w prasie na notatkę, że żona Grassa urodziła czwarte dziecko — syna, któremu na chrzcie dano imię Tadeusz. W Niemczech nie ma takiego imienia — mówią mi znajomi — oto jeszcze jeden dowód na potwierdzenie fascynacji polskością u Grassa. Nazwisko Grassa będzie się często przewijać w rozmowach o literaturze współczesnych Niemiec i w prasie. Tego samego dnia, a może nazajutrz przeczytałem w jakimś dzienniku ostrą wypowiedź Grassa, w której solidaryzuje się on z publicystą niemieckim Erichem Kuby, że „decyzje polityczne w NRF podejmuje nie parlament, lecz 200 osób, posiadających grube pieniądze". Wielki, przemysłowy Duesseldorf jest nie tylko siedzibą banków i koncernów. Jest także ośrodkiem śmiałego myślenia i działania. Widać to choćby w tutejszym kabarecie politycznym „Das Kom(m)oedchen", najlepszym tego rodzaju kabarecie w Niemczech zachodnich. Bilety na przedstawienia nowego programu „Prost Wahlzeit" wyprzedane są na dwa tygodnie naprzód. Dostałem się do „Kom(m)oedchen" jedynie dzięki zabiegom Paula Wolfa. Pozycje programu ostre i dowcipne, zwrócone przeciwko obecnej polityce Bonn, a personalnie przeciwko Adenauerowi, Erhardowi, Schroederowi i innym, natomiast z nutkami zrozumienia dla Polski, Czechosłowacji i NRD.

Stanowczo opłaciło się przyjechać do Duesseldorfu.

JAN KOPROWSKI

(Dokończenie w następnym numerze)

ROMAN GORZELSKI

SPALANIE DRZEWA

Bo każdy kształt ma w sobie ziarno ognia
które uśpione czeka kiełkowania
a każde drzewo chce dotykać nieba
i kiedy już dokona się pragnienie
zastygła lawa ogień zwija ekran
i znowu ciepło zamknie się w popiele
płomienie budzą w rozstawionych miastach
płonące krzyże które wysychają
wysoko w górze wśród gwiazd rozwieszonych
bo każda iskra zamienia się w płomień
w kształt dokonania umieszczony w czasie
który zawiera małe ziarno ognia

★ ★ ★

Ja mówię ptakom i rybom przypływu
atakują mnie wiatry wygryzają glebę
rzeki w soli nurzają na dnie oceanów
obłok kiedy mnie dojrzy przemienia się w chmurę
spala deszczem ciężarnym kształty moich liści
łamie kolor nadziei brązem i czerwienią
a ja stoję uparcie bo moje korzenie
wbite mocno trzymają jak w dłoniach tę ziemię

SYLWIA MLECZKO

MATURA

Dostałam skrawek nieba do ręki,
Uchylam co dzień tajemnic wiele.
Wam to zawdzięczam, nauczyciele.

Za oknem świeci duży słonecznik,
jak ciepły plaster żółtego miodu.
Tu, w tej ławeczce, od lewej strony,
niejeden uczył się za młodu.

Spadały dwójki, trójki, czy piątki,
w dziennik zsuwały się po cichutku
wraz z atramentem wiecznego pióra
kleksy radości, kleksy smutku.

Na pewno każdy będzie wspominał.
czarne oblicze szkolnej tablicy
i kolorowe jak piórka gila
grupki uczniaków na ulicy.

Miłe uśmiechy na twarzach dzieci,
lśni jasną barwą nowa podłoga,
a w szybach mnóstwo słońc się kręci
jak słoneczniki van Gogha.

Nad czym pracują pisarze?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Z początkiem bieżącego roku ukazała się moja powieść pod tytułem „Świętokrzyski polonez". Drugi nakład książki przewidywany jest na rok przyszły.

Przed kilku miesiącami ukończyłem i złożyłem w Wydawnictwie Łódzkim dwie książki. Pierwsza z nich to powieść pt. „Między prawdą a chlebem". Akcja toczy się współcześnie na terenie Łodzi, w roku XX-lecia PRL. Druga książka nosi tytuł — „Reportaż z pustego pola" i dotyczy obozu koncentracyjnego dla dzieci polskich, który istniał na terenie Łodzi w latach okupacji hitlerowskiej. Jest to rodzaj reportażu dokumentalnego. Obie te książki mają się ukazać z końcem bieżącego, lub w początkach roku przyszłego.

Obecnie piszę powieść dla „Czytelnika", powieść współczesną, ale jak to zwykle bywa w wypadku pracy dopiero zaczętej, trudno mi podać szczegóły.

STANISŁAW MARAT

W PRACOWNI Ignacego KAMIŃSKIEGO

Na piękno wsi składa się nie tylko malarski pejzaż, ale również twórczość ludu, jego własna kultura, będąca bujną, swobodną manifestacją artystycznego temperamentu, wyrażającego w przedstawianych formach swoją tęsknotę, namiętność, a także dążność społeczną i narodową, wzbogacając poprzez to dorobek narodowej kultury.

W naszym województwie choć kultura ludowa – a zwłaszcza jeden z jej przejawów, sztuka ludowa, coraz szybciej znika, wypierana przez zmieniającą się strukturę gospodarczą i społeczną wsi, to jednak do dziś pracuje ponad 1300 twórców oraz pięć zespołów w szkołach podstawowych podejmujących tę dziedzinę artystycznej twórczości swego regionu.

Wśród tych zamiłowanych w swym regionie artystów ludowych, pełnych wrażliwości i indywidualności, cieszących się w kraju i za granicą zasłużoną sławą, znajduje się rzeźbiarz Ignacy Kamiński ze wsi Oraczew pow. Łęczyca.

Ten 83-letni staruszek, pełen jeszcze energii i sił twórczych, zaczął rzeźbić mając 74 lata. Jest to zjawisko niecodzienne, choć nieodosobnione. Psychologia twórczości zna podobne przykłady. Można wymienić chociażby słynną babcię Moses, amerykańską naiwną realistkę lub Hel-Enri, starą polską Żydówkę, żyjącą od lat w Paryżu. Rozpoczęły one malować jakby z przypadku. W tym okresie po przebytych już trudach życia, ujęty przez nie pędzel w ręce przemówił i dał do zrozumienia, że to stanowi obecny sens ich dalszego działania.

Ze zjawiskiem późnej twórczości mamy do czynienia jak dotąd w kręgu sztuki amatorskiej. Dlaczego potrzeba wypowiedzi artystycznej nie ujawniła się w okresie aktywności dojrzałego wieku? Być może, że rygor codziennych obowiązków przezwyciężył ukryty talent, pasję twórczą. Historia sztuki wymienia podobne przypadki, jednak na ten temat niewiele ma ona do powiedzenia.

Ignacego Kamińskiego zastałem przy obróbce drewna, które w ręku „Mistrza" – tak zwą go w okolicy – zespolone z nożem przeobrazi się w artystyczną figurkę, nierozerwalnie związaną z legendą lub wydarzeniami historycznymi ziemi, na której wyrósł i pracuje przez tyle lat. Patrzę z podziwem na staruszka lekko pochylonego nad rozpoczętą rzeźbą. Ile w nim jeszcze pasji twórczej. Mówi pięknym literacko bogatym językiem – tyle, że dosadnym i jędrnym. Typowy gawędziarz, z wielkim poczuciem humoru, z ostrym i zjadliwym osądem, logicznymi argumentami. Anegdoty sypią się jak z przysłowiowego rękawa. Interesującym tworzywem literackim są jego „wspominki", z których czerpie inspirację do rzeźb.

Rzeźba stanowi odbicie tej bujnej i ciekawej osobowości. O każdej figurce może mówić w nieskończoność, a wyrzeźbił ich w ciągu 9 lat aż 1400. Wszystkie związane są z legendą czy historią regionu łęczyckiego. Słynny diabeł Boruta – w różnych wcieleniach. Pierwsza postać to Boruta-siłacz. Figurka ustawiona na tle nostalgicznego ponurego pejzażu łęczyckich bagien.

„W lasach, wśród bagien, żył chłop. Dano mu przydomek, od boru – Boruta. Chłop-siłacz. Wyciągnął z bagien wozy Kazimierza Wielkiego, które wiozące króla do zamku łęczyckiego, pobłądziły. Boruta za usługę otrzymuje szlachectwo i idzie do zamku na służbę króla. Musiał Boruta dać się we znaki okolicznym chłopom, bo odtąd mówiono o nim jako o diable, a po śmierci wierzono, że wcielał się w różne postacie ludzkie czy też zwierzęce".

Więc jest Boruta-topielec, Boruta-miernik, Boruta-szlachcic, Boruta-błotny, Boruta-zamkowy, i wiele, wiele innych.

Zawarte w kompozycjach figuralnych legendy czy wydarzenia historyczne, ich interpretacja, stanowi o odmienności jego twórczości, jest ona inna od wszystkiego, co zazwyczaj oglądamy w prymitywnej rzeźbie ludowej. Widać przemyślany wybór tematu wyrażający określone treści, stanowisko. Najbardziej charakterystyczne jest, że rzeźbi tylko to, co pamięta, co widzi lub do czego ma aktywny stosunek uczuciowy. Pozostaje daleko poza kręgiem zainteresowań i rozwiązań tematycznych tradycyjnej sztuki ludowej, celującej głównie w religijnych tematach i naturalistycznych tęsknotach. Poszedł drogą własnych poszukiwań i rozwiązań.

Mimo lat nie odizolował się od otoczenia, nie odciął się od zachodzących przemian społecznych i kulturalnych w kraju. Człowiek o nieprzeciętnej inteligencji, żywym umyśle, szerokich zainteresowaniach. Nabytą wiedzę przekazuje potomnym w rzeźbie. Przypomina ludziom historyczne zdarzenia, sceny z ludowych podań, dawne zwierzęta... Nawet nazwy figurek są tego potwierdzeniem: Kobieta z sierpem, Mieszko I, Rycerz z czasów Mieszka I, Kapela ludowa, Kolędnicy, Niemiecki Misjonarz, rozliczne wersje żubra, tura, łosia, psa, lisa, kota, zająca...

Z zakłopotaniem opowiada o swoich niepowodzeniach, nieudanych zamierzeniach, pomysłach. „Ot, Królowa Jadwiga nie ma korony, zabrakło drzewa – klocek był za mały. Wystarczyć musiał orzeł na piersi. A łoś? Wyszedł z klocka świetnie, ale znów brakło drzewa na rogi. Za to umieszczone koło zębate na łbie łosia symbolizuje rogi zwierzęcia".

Na pożegnanie Kamiński bierze klocek lipy, długo obraca go w ręku i tłumaczy co z tego może wyjść. Sięga po nóż i zaczyna nim pracować sprawnie, szybko, cięcia są głębokie, pewne i precyzyjne. Chce utwierdzić mnie w przekonaniu, że przy całej ograniczoności warsztatu twórczego, myśli bezbłędnie materiałem rzeźbiarskim, więcej, że lubi drzewo, że kocha to co stworzył, co uwiecznił w swej bogatej twórczości tak nierozerwalnie związanej z historią regionu łęczyckiego.

Kapela ludowa, Ignacy Kamiński.

JERZY TYNECKI

TECHNOKRACI POEZJI

Jest ich tym razem ośmiu *. Łączy ich retoryka, różnią bardzo ładne... oprawy graficzne. Samych siebie odczuwają oni nie ostro, toteż ich poezja jest w większości konstrukcją metafizyczną. Usiłują oni z paradoksalnych zestawień słów stworzyć rzeczywistość nadrzędną i żądają od nas, żebyśmy w tych zestawieniach dopatrzyli się wartości estetycznych lub głębi.

Skoro jednak czynnikiem sprawczym przedkładanej nam poezji stał się egocentryzm, a nie – jak to zwykle bywa – egotyzm, mamy prawo odrzucić tę poezję bez jakiegokolwiek wnikania w jej sens. Egocentryzm jest swoistym niedorozwojem myślenia, jest myśleniem prymitywnym, pośrednim między formami myślenia patologicznego a krytycyzmem. Praktyczne wyniki egocentryzmu są opłakane, nie ma też powodu sądzić, że musimy się do nich odnosić z nabożeństwem w dziedzinie działalności twórczej. Jeśli wykazujemy pewną tolerancyjność dla form postępowania i myślenia egocentrycznego, to tylko z przyczyn humanistycznych: nie chcemy bowiem odtrącać od społeczności ludzkiej. Również więc ta poezja korzysta nie tyle z naszego zaciekawienia, co ze współczucia i pseudosolidarności. Rzecz się ma więc odwrotnie niż twierdzą to nowoczesni poeci: to nie oni nas przewyższają, lecz my się do nich zniżamy. I, szczerze mówiąc, nie gustujemy w takich sytuacjach.

Tomiki, mieszczące się w tegorocznej Bibliotece Poetów, hołdują skrajnościom. Skrajności tych ustrzegł się najbardziej Józef Henryk Wiśniewski. Najmniej u niego manieryzmów, toteż jego tomik wydaje się najbardziej własnym. Jednakże w jego wierszach wyczuwa się ton nieokreślonego beatnikostwa bez zaplecza i bez celu, nieokreślone bliżej niepogodzenie, podszyte wyraźniejszym za to sentymentalizmem.

Jerzy Jarmołowski usiłuje irracjonalność zastąpić makabreską, zapewne w nadziei, że skojarzenia makabryczne działają silniej niż metafizyczne. Dla tego to powodu sięga do refleksji i tematyki wojny i „wielkich pieców". Robią to również inni i nie pochwalam tego procederu, uprawianego gwoli wymogom literackiego rynku. Jest to, jakby się rozprzedawało magazyny Oświęcimia jako „pamiątki". Uważam, że za lat kilkadziesiąt tego rodzaju tomiki będą zbierali wyłącznie hobbyści. Jarmołowski też swój duży talent zużywa tak, jakby mu zależało na produkcji znaczków pocztowych. Sekret polega tu na perforacji, to jest na odpowiednim strzępieniu frazy.

Nie wiedzieli tego moderniści i nie wie Roman Gorzelski, że każde słowo ma swoje znaczenie, lecz ich dowolne zestawienia znaczą mniej, niż każde słowo z osobna. Natomiast zrozumiałe sekwencje Gorzelskiego nie odznaczają się poetycznością. Ot, sentymentalna i udziwniona proza. O przekładach niech wypowiedzą się fachowcy.

Niektórzy nawiązują do Saint-John Perce'a, i bliżej – do Leśmiana. Zanim się jednak za „błądzenie wśród warstw języka", wśród najodleglejszych dialektów otrzyma nagrodę Nobla, trzeba morze erudycji rozpuścić w oceanie pustosłowia. Wiadomo też, że poszukiwania lingwistyczne są zwykle pretekstami do zachłyśnięć mistycznych. Jeśli zabraknie dystansu, efekty będą mizerne. Tymczasem Ziemowit Skibiński, nie dociera na razie dalej, jak do średniowiecznej Księgi Henrykowskiej i z triumfem obwieszcza: „dajać ja pobruszę słowem". Bardzo pięknie, lecz to pierwsze zanotowane polskie zdanie zna każdy student humanistyki. Ta naiwność może się wydawać świeżością, ale Skibiński brnie z nią w zupełnie mętną prozę poetycką. Bez uciekania się do dyskusji pseudofilozoficznych można prostym zabiegiem wykazać, że odkrycia młodego poety są mało ważkie. Wiadomo, że paradoksy i metafory, które można odwrócić, są nieszlachetnej próby. Co więc będzie, jeśli „Czasolas" Skibińskiego zamienimy na „Lasoczas"? Czarnolasu tak zmienić nie można! Brak też Skibińskiemu subtelności, która by go chroniła przed powiedzeniami tylko do wykpienia. Miłość to nie zbliżenie, to osmoza – powiada Skibiński, i wyraźnie nie nadąża ze swoją nowoczesnością za biegiem życia. Od kiedy na rynku pojawiły się laminaty, ludzie nie rozmnażają się chodząc pod rękę. Sztuczne tworzywa uniemożliwiają osmozę łokciami i ludzie muszą wrócić do miłości bardziej zmysłowej.

To zresztą charakterystyczne, że żadnemu młodemu poecie nie udają się metafory i porównania, czerpiące z dyscyplin technicznych czy przyrodniczych – są one z reguły ni w pięć, ni w dziewięć. Jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym spory o fizykalizm, biologizm, a także różne maszynizmy ożywiały poezję. Dziś żyjemy z postępem cywilizacyjnym na co dzień i obawy i teorie humanistów straciły walor aktualności, toteż te technicystyczne metafory wyglądają w „nowoczesnej" poezji jak wygrzebane ze śmietnika.

Najwdzięczniej brzmią one u najdojrzalszego – Jerzego Wawrzaka. Jest on poetą eklektycznym. Łączy asocjacjonizm Rimbauda (lecz nie wiadomo, gdzie stosuje pastiche, a gdzie zaczyna naśladować) z retoryką parnasistów (bez ich cyzelatorstwa), obok tego zaś nadużywa przestawni jak jaki Naruszewicz. Najpełniej wyraża się w dłuższych poematach, w których pojawia się szerszy oddech i giętsza fraza. Wydawnictwo źle czyni obcinając młodym poematy, a preferując kalekie awangardowe wiersze, od których poemat właśnie pozwala odejść.

Stosunkowo najlepiej się odbiera tych poetów z tegorocznej „szkatułki", którzy nie traktują wierszy jako paliatywów czy namiastek własnej osobowości. Autentyczne wydaje się zatem wierszowana nie Henryka Hartenberga, mimo naiwnej eschatologii jego tomiku. Dobrze też zrobił Włodzimierz Piotrowski, rezygnując z ambicji filozoficznych i wygrywając umiejętnie regionalizm Karkonoszy. Tyle, że przedstawione przez niego wzruszenia nie zawsze domagały się utrwalenia.

Na ogół wspólne wszystkim jest współczesne mniemanie, że poezja polega tylko na odpowiednim organizowaniu języka. To właśnie jest swoista technokracja, ahumanistyczna zabawa czy bez nadziejna konkurencja z technokratami prawdziwymi.

*) **Biblioteka Poetów 1964. Łódź 1964 (antydatowane! 1965) Wydawnictwo Łódzkie. Roman Gorzelski: TRZY BLUESY. Henryk Hartenberg: CIEŃ PTAKA. Jerzy Jarmołowski: O DZIEWCZYNACH ŻOŁNIERZY. Jan Onopa: NIEPOKÓJ DĘBÓW. Włodzimierz Piotrowski: ETIUDA NA LEN Z TOWARZYSZENIEM WIATRU. Ziemowit Skibiński: KSIĄŻĘ. Jerzy Wawrzak: LUMINESCENCJE. Józef Henryk Wiśniewski: MIĘDZY TOBĄ I MNĄ. Redaktor: Tadeusz Chróścielewski.**

PÓŁKA z książkami

SZWEDZKA POWIEŚĆ

Z literatury szwedzkiej znaliśmy dotychczas jedynie utwory Selmy Lagerlof. Trzeba z przyjemnością skonstatować, że w ostatnich latach wydawnictwa nasze postarały się o przyswojenie językowi polskiemu nowych przekładów nowych szwedzkich autorów. Dość wspomnieć utwory Pära Lagerkvista, który w 1951 roku otrzymał nagrodę Nobla. W tej chwili mamy już kilka jego pozycji dostępnych w języku polskim. Obecnie otrzymaliśmy w przekładzie powieść szwedzkiej pisarki, Sary Lidman (nie mylić z pisarzem Svenem Lidman). Powieść Sary Lidman „Bagienne maliny" ma charakter autobiograficzny, co w oczach jednych obniża jej wartość, w oczach innych — wartość tę podnosi. Co do mnie, lubię powieści o charakterze autobiograficznym. Nawet jeśli powieść taka niezupełnie się uda pod względem artystycznym, zawsze jeszcze pozostanie w niej coś z autentycznej prawdy, za którą dzisiejszy czytelnik tak tęskni. Wszyscy tęsknimy za prawdą. Powieści autobiograficzne dają nam odczuć jej smak.

W powieści Sary Lidman (co jest charakterystyczne dla literatury szwedzkiej w ogóle) nie ma modnych chwytów i eksperymentów. Wykorzystuje ona raczej stare wypróbowane środki i metody pisarskie, ale nasyca je świeżym przeżyciem i nowym stosunkiem do świata i opisywanej rzeczywistości. Książkę można polecić jako zajmującą, która daje wgląd w życie Szwecji, zwłaszcza w jej warstwy najbiedniejsze. Dobry przekład Marii Olszańskiej. Przedmowa znawcy literatury szwedzkiej — Zygmunta Łanowskiego.

I. K.

Sara Lidman: „Bagienne maliny". Przełożyła Maria Olszańska, PIW, Warszawa, 1965, str. 266.

„WAKACJE Z JULIĄ"

Jest to coraz częstsze zjawisko, że pisarz, który zaczął od pisania wierszy i ma na swoim koncie dwa czy nawet trzy tomiki, przechodzi do prozy. Oznacza to, że człowiek, który dojrzewa, nie jest w stanie wypowiedzieć się w pełni i całkowicie w wierszach. Proza daje większe możliwości spożytkowania rozlicznych doświadczeń i obserwacji pisarskich.

Janusz Koniusz jest jeszcze jednym przykładem na poparcie tej prawdy. Po tomikach wierszy „Tempo krążenia"; „Ślad przelotu" i „Wokół słowa", wystąpił obecnie z tomem prozy artystycznej. „Wakacje z Julią" zawierają jedenaście krótkich opowiadań, pisanych przeważnie w pierwszej osobie. Jest to bardzo modny i bardzo rozpowszechniony ostatnio sposób narracji. Nic dziwnego: daje on autorowi swobodę i nie krępuje go rygorami prawdziwie klasycznej noweli czy opowiadania. Są to zresztą przeważnie opowiadania-monologi, opowiadania-zwierzenia, w których zawsze mniej chodzi o zapis zewnętrznego faktu, a bardziej o jego psychologiczną analizę.

Opowiadania Janusza Koniusza zalecają się prostą i spokojną narracją. W miarę nowoczesne nie przestają jednak być komunikatywne, odwołują się one do powszechnych przeżyć i doświadczeń. Wszystkie one dzieją się we współczesności, choć trzeba zauważyć, że trochę za mało osadza je autor w konkretnej rzeczywistości. Krucha materia tych opowiadań wskazuje, że pisał je poeta. Ale cokolwiek można by tym opowiadaniom zarzucić, dobrze wróżą one o dalszych możliwościach utalentowanego autora.

J. K.

Janusz Koniusz: „Wakacje z Julią". Wydawnictwo Poznańskie, str. 102, Poznań, 1965 r.

„WSPÓLNIK CZASU"

Problematyka wsi, tej przedwojennej, okupacyjnej i współczesnej jest motywem przewodnim w twórczości Władysława Dunarowskiego. Mieszkając od wielu lat w mieście pozostał wierny swej spędzonej na wsi młodości.

Tomik opowiadań pt. „Wspólnik czasu" wydany ostatnio przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą porusza właśnie te sprawy. Prezentuje przebogatą galerię typów ludzkich wyrosłych w społeczności wiejskiej, a rządzącej się własnymi, nieraz bardzo surowymi prawami. Opowiada o pierwszych dniach w wolnej Polsce, o kłopotach związanych z przystosowaniem się, tak zazwyczaj niechętnych wszelkim nowościom, ludzi do zmienionych warunków. Przywyknięcia do spraw całkiem nowych, nie przeżytych jeszcze, niełatwych do pojęcia. Zaprawionych odrobiną przestrachu i zdumienia, a już wchodzących w krew i życie.

Każda wieś jest małą, zamkniętą w sobie społecznością, w której walczą ze sobą charaktery i dążenia. Są tam zarówno jednostki wybitne i mocne, jak i niedowarzone. Cała gama postaci. Nie jest łatwo pokazać ją tak, by nie zatracić przy tym wszystkich cech charakterystycznych, nie spłycić. Dunarowskiemu udaje się to znakomicie. Rysuje lekko i wprawnie charaktery i konflikty. Pokazuje prawdziwy i twardy świat. W sumie lektura nie tylko ciekawa, ale i pouczająca.

L. ST. R.

Władysław Dunarowski „Wspólnik czasu" — LSW — Warszawa, 1965, str. 151, cena zł 11.

■ **FINLANDIĘ** już od dawna nazywano krainą tysiąca jezior. Ostatnio utarło się nowe określenie — kraina tysiąca teatrów. Istotnie, Finów interesuje teatr więcej, niż jakikolwiek inny rodzaj sztuki. W kraju, liczącym 4,5 miliona ludności, działa 35 zawodowych teatrów, subsydiowanych przez państwo oraz władze miejskie. W ciągu roku przez teatry fińskie przewija się ponad milion widzów! Jest to czwarta część całej ludności Finlandii.

Obok zawodowych teatrów, rozwija tu niezwykle ożywiona działalność ok. 6 tysięcy teatrów amatorskich. Teatr nie jest tutaj dochodową instytucją, jak ma to miejsce np. w Nowym Jorku, Paryżu czy Londynie. Nie jest biznesem i nie jest również jednym z miejsc, gdzie się spędza czas, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Dla Finów teatr jest ogniskiem kultury i edukacji, tak samo ważnym jak muzyka poważna, biblioteka czy muzeum. Dzięki pomocy państwa i władz municypalnych ceny biletów są umiarkowane.

W Skandynawii, jak zresztą w całej Europie, Helsinki zajmują w życiu teatralnym miejsce specjalne; bo i jakże inaczej — na pół miliona mieszkańców stolicy, aż 13 teatrów! Nic więc dziwnego, iż Helsinki nazywa się powszechnie „teatralną stolicą Północy". Czołowa pozycja jest stary i okazały Teatr Narodowy. Budowę tego ogromnego, granitowego gmachu ukończono w roku 1902.

Repertuar teatrów fińskich obejmuje zarówno sztuki fińskie, jak i zagraniczne, klasyczne i współczesne. Spośród klasyków fińskich najbardziej popularne są sztuki Aleksisa Kivi i Minna Kaut; z zagranicznych — Molier, Szekspir, Ibsen, Strindberg, Czechow, Shaw. A ze współczesnych: Anouilh, Sartre, Arthur Miller, Tennensee Williams.

■ **DRUGI FESTIWAL** Wolnej Wypowiedzi już się skończył: i, uff! Nawet na Montparnasse tego jeszcze nie widziano!

David Davis, dyrektor Amerykańskiego Centrum Studenckiego w Paryżu oświadczył, iż widowisko to miało „otworzyć oczy nas wszystkich na okropności współczesnego świata".

A jaki był program festiwalowych publicznych i ulicznych pokazów? Nie będziemy cytować surrealistycznych tytułów, natomiast wyliczymy to, co zobaczył przecietny widz: była więc ofiara złożona ze starego Renaulta za pomocą siekiery i piły. Następnie — parada nagich dziewcząt, strojnych jedynie w spaghetti, które zresztą wkrótce zostaną zjedzone przez podchmielonych widzów. Potem motocykl imitujący byka i staczający walkę z toreadorem.

Następnie czarna msza zakończona krwawym ukrzyżowaniem koguta. I rozbicie na drobne kawałki olbrzymiej reprodukcji „Myśliciela" Rodina. Wreszcie turniej poezji beatnikowskiej i pod jej akompaniament — ekscesy ekshibicjonistyczne na dachach samochodów.

„Dopiero nasze pokolenie zaczyna pojmować czym jest Wolność" — oświadczył na zakończenie festiwalu jeden z jego organizatorów. Hm... hm...

■ **MAURICE CHEVALIER** lubi wygłaszać aforyzmy; oto jeden z nich: „Młodzi myłą się, wierząc, iż umiera się z powodu złamanego serca. Wręcz przeciwnie — z powodu złamanego serca już nie jeden dożył późnej starości".

■ **NA LIŚCIE** amerykańskich bestsellerów płytowych zauważyliśmy ostatnio nagranie 18 mazurków Szopena w wykonaniu Fov Tsonga oraz Scherzo in E Major w wykonaniu Światosława Richtera.

■ **POLICJA** musiała interweniować, by powścią gnąć entuzjazm tłumów witających we Florencji **powrót na scenę Anny Magnani.**

■ **JUŻ W PRZESZŁO** 200 kalifornijskich restauracjach usługuja „artyści" w stroju monohini. Władze miejscowe, jak się zdaje, nie są w stanie zapobiec rozprzestrzenianiu się tego zwyczaju, a projektanci strojów kąpielowych wróżą, iż jest to sygnał zapowiadający zwycięstwo „toplessa" na plażach w nadchodzącym sezonie letnim.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

■ **TAK MODNE DZIŚ NA ZACHODZIE COLLAGE** mają, jak się okazuje już i swoją historię. Zmarły w roku 1948 w Anglii niemiecki plastyk Kurt Schwitters doczekał się w 17 lat po śmierci wielkiej retrospektywnej wystawy swych dzieł — wyłącznie collage'ów i to aż w słynnej Galerii Marlborough - Gerson na Manhattanie. I właśnie ta wystawa wykazała, kto jest ojcem tej dziwnej sztuki, zrodzonej z wycinanek, wyklejanek i pseudofotomontaży, a tak dziś rozpowszechnionej.

Sam Kurt Schwitters był w pełni przeświadczony o wadze artystycznej swych eksperymentów. „Nadejdzie dzień, kiedy właśnie my — abstrakcjoniści i twórcy collage — zdobędziemy decydujący wpływ na widzenie plastyczne nowych pokoleń". — Ten sąd datuje się z początku lat 20, gdy artysta związany był jeszcze z dadaizmem. Wkrótce potem Schwitters poszedł w swych sądach jeszcze dalej — „Na nic mi to, co wyniosłem z Akademii, I na nic mi harmonia: właśnie w chaosie najmocniej brzmi głos sztuki". W tym czasie pracownia artysty przypomina już rupieciarnię, wszystko może być materią jego twórczości: znaczki pocztowe, monety i stare banknoty, guziki, wycinki z gazet, plakaty i afisze, trybiki i cyferblaty, nawet tablice drogowe, zakazy palenia, znaki rejestracyjne, szyldy — oto tworzywo, z którego Schwitters tworzy swe dzieła określane nic nie znaczącym słowem — neologizmem: **Merz** — swym brzmieniem kojarzącym się z takimi emocjonalnymi rzeczownikami niemieckimi jak bajka, ból, serce — czy handel.

Schwitters — jak większość modernistów — oczywiście nie mógł oczekiwać niczego dobrego od reżimu hitlerowskiego: porzucił więc swoje monachijskie atelier zwane, od prac, które je zdobiły Merzbau — i na lata całe zniknął z pola widzenia europejskiego świata sztuki. Ale po wojnie wrócił do swych kompozycji collage'owych: tuż przed śmiercią, w roku 1947, powstała reprodukowana przez nas praca pt. „For KATE". Trzeba pamiętać, iż wtedy jeszcze nikt nie słyszał o obecnym wielkim mistrzu collage'ów — Roy Lichtensteinie.

A jak popularny jest collage — hobby czy pasja amatorów - plastyków i poważna dziedzina twórczości artystów z prawdziwego zdarzenia — świadczyć o tym może najlepiej właśnie wystawa na Manhattanie i jej niebywałe powodzenie.

■ **NICOLO PAGANINI JEST PO DZIŚ DZIEŃ SKRZYPKIEM WIRTUOZEM WSZYSTKICH CZASÓW.** Jeszcze w 125 lat po śmierci, otacza go wciąż żywa legenda, wciąż jeszcze powstają o nim dzieła literackie i dramaty, co więcej, jego kunszt, znany nam przecież tylko z przekazów pisanych, wciąż jeszcze niepokoi i zadziwia muzykologów. Tak np. ostatnio ukazała się praca pewnego szwajcarskiego muzyka — pedagoga, rozpatrująca fizyczne predyspozycje „diabelskiego skrzypka", a w szczególności snująca domysły na temat budowy anatomicznej rąk Wielkiego Czarodzieja Skrzypiec.

Interesuje się Paganinim również i film: tu oczywiście na plan pierwszy wysunięta zostanie chyba osławiona wprost mistyczna władza, jaką przez długie lata sprawował Nicolo nad kobietami. Ówczesna prasa, pamiętniki i literatura, pełne są opowieści i anegdot, i dzięki nim potrafimy sobie wyobrazić Paganiniego — sprawcę masowej kobiecej histerii, przed którym zazdrośni mężowie w popłochu wywozili z miast, objętych jego tournée, swe żony, przed którym chowano córki w zaciszu klasztorów, którego wreszcie ukazanie się na estradzie witały damy atakami spazmów, omdleniem, orgiastycznymi okrzykami — zupełnie jak za naszych czasów dzieje się to z Beatlesami.

Ale Nicolo Paganini miał wśród swych wielbicielek pierwsze damy Europy: siostra Napoleona uczyniła go nie tylko nadwornym dyrygentem ale i pułkownikiem żandarmerii. Rozpustna Paulina Borghese obsypywała go złotem, na które zresztą wielki skrzypek zawsze bardzo był łasy. Dużo złota potrzebował na zaspokojenie jedynej swej namiętności: gry w karty. Był zresztą — jak twierdzą współcześni — trochę i szulerem, co nie zapobiegało temu, iż nie

jeden raz przegrywał bajońskie sumy. Czy przegrał diabłu w karty swą duszę — tego nie wiemy, wiemy natomiast, iż ukochanemu synowi pozostawił dwa i pół miliona francuskich franków — sumę wprost niewiarygodną.

Szubert, Szopen i Liszt — zgodnie — uważali Paganiniego za fenomen. Ocena ta dotyczyła jednak głównie osiągnięć koncertowych Włocha. Jako kompozytor pozostawił „diabelski skrzypek" spuściznę uszczuplona przez chciwość; wiele bowiem swych kompozycji zniszczył w obawie przed naśladownictwem. Zresztą nie był nowatorem, jego 24 Capriccia i dwa koncerty skrzypcowe są dziełem dojrzałej, tradycyjnej, włoskiej szkoły, zapoczątkowanej przez Tartiniego i Viottiego.

Warto chyba jeszcze jedną uwagę poświęcić tej barwnej, satanicznej sylwetce: Paganini był również chyba pierwszym muzykiem, który światową sławę zdobył dzięki umiejętnie prowadzonej reklamie — i to reklamie całkiem nowoczesnej, w stylu — powiedzielibyśmy zgoła amerykańskim: skandal, anegdota, legenda, podsycane celowo histeryczne nastroje kobiet, cały kunszt tzw. „wejścia na scenę" — oto w czym wielki skrzypek nie miał sobie równych. Ale nawet taka, nieco tandetna i pretensjonalna oprawa, nie mogła przyćmić blasku niezwykłego talentu, o którym mówią legendy — póki trwać będzie wśród ludzi kult Wielkiej Muzyki.

■ **CZY POZNAJESZ,** Czytelniku, kto to? Tak, tak, to B.B., która, zdając sobie widocznie sprawę z tego, iż po trzydziestce nie można już liczyć tylko na sexbombardowanie widza, bardzo systematycznie pracuje ostatnio nad swym aktorstwem. Między innymi próbuje również sił jako mim i klown — sięgając, jak widać, po najlepsze wzory.

Zobaczymy, a może nie zobaczymy, co wyniknie z tych wysiłków.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

W przedsłowiu do poniedziałkowego spektaklu TV red. Stefan Treugutt nazwał sztukę Williama Saroyana „Zabawa jak nigdy" — marzeniem o szczęściu. Było jednak w tym „lirycznym realizmie" amerykańskiego pisarza trochę za wiele taniego sentymentalizmu; niełatwego do przyjęcia w czasie prawie dwugodzinnego przedstawienia. Całość ratowała świetna gra zespołu z Matyjaszkiewiczem, Kociniakiem, Ryszardą Hanin oraz Andrzejem Łapickim w roli tytułowej.

WTOREK

Po sztukach lżejszego kalibru („Osiem kobiet", „Drewniana miska") Państwowy Teatr Nowy sięgnął do „wielkiego repertuaru" wystawiając „Życie Galileusza" Bertolta Brechta. To ogromne malowidło historyczne, można by rzec — panorama, zostało wystawione z dużym nakładem pracy i talentu reżysera Tadeusza Minca i scenografa Henri Poulaina. Czytałem w jednej z recenzji, że odtwórca Galileusza — Janusz Kłosiński nie ukazał znamion wielkości słynnego uczonego. Sądzę, że wielkości zabrakło samej historycznej postaci „ojca współczesnej fizyki": Był geniusz, ale nie było moralnej wielkości; bo gdyby tej nie zabrakło, nie byłoby zdrady, jakiej dopuścił się Galileusz wypierając się pod naciskiem Inkwizycji swych odkryć. Natomiast Kłosiński, i słusznie, stworzył renesansową figurę uczonego, który ceni sobie przyjemności życia i niezależność majątkową. Oprócz odtwórcy roli głównej trzeba wymienić w tej mikrorecenzji Zygmunta Malawskiego w roli Sagredo; Zygmunta Zintla jako kardynała, Ludwika Benoit w roli inkwizytora i Wojciecha Pilarskiego kreującego postać kardynała Bellarmin, a następnie papieża Urbana VIII.

ŚRODA

Czwarty konkurs piosenkarzy-amatorów, wykonawców piosenki radzieckiej, o czym pisaliśmy w Notatniku z 6 czerwca br. konkurs, który otrzymał nazwę Festiwalu Piosenki Radzieckiej, zakończył się dużym sukcesem łodzian. W finałowym koncercie w Zielonej Górze pierwsze miejsca zdobyli: Barbara Chętko z Łódzkiego Domu Kultury; Henryk Stefaniak i Andrzej Nowak z Zakładów im. Dzierżyńskiego, oraz Henryka Maciejewska z Liceum Pedagogicznego w Wieluniu. W skład jury wchodził Andrzej Pietrow, który skomponował — między innymi utworami muzycznymi — ilustrację muzyczną do filmu „Spacer po Moskwie".

CZWARTEK

Juliusz Verne (1828—1905) był dla swoich czasów kimś w rodzaju naszego dzisiejszego Lema. Na różnicach i kontrastach wiadomości naukowych, posiadanych przez ówczesnego człowieka, a dzisiejszego, oparta jest między innymi zabawna komedio-farsa czeskiego pisarza Pavela Kohoutá, według udramatyzowanej przeróbki powieści Juliusza Verne „W 80 dni dookoła świata". Czeski reżyser, zaproszony przez Teatr Powszechny, Vaclav Lohnisky nadał sztuce, i słusznie, zawrotne tempo, które zacierało zręcznie nieliczne, zresztą, mielizny dobrze zmontowanego spektaklu rozrywkowego. Główne role zagrali z humorem Włodzimierz Skoczylas i Michał Szewczyk, którym sekundowali Zbigniew Niewczas, Tadeusz Sabara, Marian Gamski i inni.

PIĄTEK

W numerze 1969 „Les Nouvelles Litteraires" André Maurois pisze o niebezpieczeństwie naszych czasów. Jednym z rodzajów niebezpieczeństwa jest frenetyczne tempo i hałas. Szybciej i głośniej! — oto hasło dnia dzisiejszego. Radioodbiorniki, telewizory, gitary elektryczne, wszystko ryczy i wyje na cały regulator, jak gdyby celem tych urządzeń było robienie jak największego hałasu i zagłuszenie myśli, słowa, refleksji filozoficznej nad życiem. W sztuce formy tradycyjne uważa się za mocno przestarzałe, malarstwo abstrakcyjne odniosło zwycięstwo na całej linii, w budownictwie nie znajdujemy dawnych klasycznych linii, nowa powieść pogrzebała literaturę, a jednocześnie, spotkanie dzisiejszego pisarza z naukowcem to rozmowa źle poinformowanego zacofańca z człowiekiem nowej ery. Znakomitego pisarza przeraża zapowiadany przez wielu uczonych koniec cywilizacji klasycznej. Z wiekiem XX kończy się okres pięciu tysięcy lat ludzkości, kończy się era wielkich starych cywilizacji, wchodzimy w nową epokę, opuszczamy świat trójwymiarowy i od jutra żyjemy w świecie o czterech wymiarach. Czyżby jednak było aż tak źle, jak prorokuje Maurois? Może to tylko pesymistyczna refleksja starca, który już nie nadąża za gigantyczną wizją przyszłego świata, świata na minutę przed zdobyciem Kosmosu?

SOBOTA

Tymczasem w Kutnie dzielny Klub „Międzyspółdzielniany", zorganizowany przez miejscową spółdzielczość pracy, kwitnie, rozwija się i stawia sobie coraz nowe zadania oświatowe. W każdą środę tygodnia odbywają się tam wieczory dyskusyjne na tematy zaplanowane z bywalcami Klubu. Więc zapewne i o Kosmosie? A jakże! Ponadto odbywają się spotkania literackie w klubokawiarni, cieszącej się dużą frekwencją. Ostatnio gościli tam z wieczorami autorskimi Marian Piechal i Jan Sztaudynger. Oprócz innych zajęć Klub prowadzi punkt biblioteczny i czytelnię czasopism, a posiadając własny aparat filmowy wyświetla filmy oświatowe i popularne na zasadach własnej projekcji. Kwitnie również nauka savoir-vivre'u. Młodzież chętnie uczęszcza na bezalkoholowe wieczory i naukę dobrego tonu. Jak widać, Klub, w którym także można zagrać w bilard, w szachy, brydża, jest Klubom nie malowanym.

NIEDZIELA

A teraz parę uwag na marginesie filmu Jerzego Skolimowskiego „Walkower". W recenzji w ubiegłym numerze „Odgłosów" bezimienny recenzent nazwał ten film wydarzeniem, podkreślił ciekawe propozycje formalne, wnikliwość psychologiczną itd. W podobnie przychylnym tonie były utrzymane recenzje w „Przekroju" i w „Polityce" oraz w innych czasopismach. Prasa zgodna jest więc, że mamy do czynienia z nowym talentem filmowym dużej miary w osobie Skolimowskiego. Tymczasem film szedł w Łodzi w kinie „Polonia"... 6 razy, słownie: sześć wieczorów. Portier zapytany o przyczynę, odpowiedział mi: „Panie, trzeba być uczonym, żeby zrozumieć, o co tu chodzi". Jest to więc film trudny, z nowymi propozycjami. Szkoda, że nawet prasa okazuje się w wypadku oryginalnych dzieł bezsilna i nie może zachęcić publiczności do podjęcia wysiłku intelektualnego i próby odczytania nowych godnych uwagi propozycji artystycznych.

ARYSTARCH

ZBIGNIEW WÓJCIKIEWICZ

JESZCZE O MŁODZIEŻY

Jestem nauczycielem w jednej z łódzkich szkół zasadniczych dla pracujących. W swej pracy zawodowej stykam się na co dzień z młodzieżą, która stwarza specyficzne problemy wychowawcze. Młodzieżą dorastającą (wiek przeciętny: 17—18 lat), nad którą rodzice na ogół stracili już kontrolę, a która nie jest jeszcze w pełnym tego słowa znaczeniu samodzielna. Przynosi wprawdzie co miesiąc z zakładu, w którym pracuje i który — zgodnie z ustawą dla młodocianych — posyła ją do szkoły, sto sześćdziesiąt do trzystu kilkudziesięciu złotych. Nie jest to jednak suma, wystarczająca na choćby najskromniejsze utrzymanie, tym bardziej, iż często uszczuplają ją potrącenia za opuszczone bez usprawiedliwienia godziny zajęć lekcyjnych. Szkoła ma obowiązek wysyłać odpowiednie zestawienia do zakładów, a te z kolei — znów na podstawie odnośnej ustawy o obowiązku dokształcania teoretycznego młodocianych — odliczają za każdą taką godzinę (jeśli w ciągu miesiąca zbierze się ich 10 lub więcej) po ok. 2 zł. Nie jest to zbyt wiele zważywszy, że np. klasy ogólnozawodowe mają zajęcia zaledwie dwa razy w tygodniu (w sumie 10 godzin lekcyjnych) oraz, że zakład zwalnia uczniów w dniach zajęć szkolnych wcześniej z pracy. Nie jest jednak mało, zważywszy globalną sumę ich wynagrodzenia.

Jako się więc rzekło, nie jest to młodzież, podlegająca wpływom wychowawczym domu, jednak zależy od rodziców pod względem materialnym. To stwarza specyficzną sytuację dla szkoły. Pomijam tu wypadki skrajne, gdy jeden czy drugi z uczniów przed wejściem w życie nowego kodeksu cywilnego, zmuszony okolicznościami, ożenił się. Na takich uczniów szkoła nie ma właściwie żadnego wpływu. Po paru miesiącach przychodzi na świat dziecko, zupełnie nowe kłopoty i obowiązki usuwają na dalszy plan naukę. Gorzej, jeśli dany uczeń mieszka z rodzicami, którzy albo wcale nie raczą kontaktować się z wychowawcą, albo też przynaglani listami poleconymi zjawiają się w szkole tylko po to, by oświadczyć: „Syn kończy w tych miesiącach (lub już skończył) 18 lat i czuję się wobec niego bezsilny". Czasami droga perswazji — ze strony szkoły, zakładu, domu, skutkuje i uczeń postanawia wziąć się do pracy, zaprzestać wagarowania, zmienić swe postępowanie w odniesieniu do nauczycieli. Jest to jednak droga jedyna, uzależniona od dobrej woli ucznia, a więc nie zawsze skuteczna. W innych przypadkach szkoła jest bezsilna. Zgodnie z niedawno wydanym zarządzeniem, ucznia nie wolno skreślić z listy, można go jedynie zawiesić na rok, a po upływie tego czasu trzeba ponownie przyjąć. Dopiero w wypadku powtórzenia się takiej sytuacji można za trzecim razem odmówić zapisania go w tej samej szkole, ma jednak prawo ubiegać się o to w innej. Nawet w wypadku czynnego znieważenia w biały dzień, w samym centrum miasta człowieka, wykonującego obowiązki służbowe — uszkodzenia ciała kontrolera w tramwaju (wypadek taki miał ostatnio miejsce), szkoła nie ma prawa podjąć surowszych sankcji. Jeśli nie stanie na przeszkodzie wyrok sądowy, uczeń będzie musiał być przyjęty do tej samej klasy w następnym roku szkolnym.

Uczniowie dostrzegają tę bezsilność szkoły i potrafią swą względną bezkarność wykorzystać. Nierzadkie są wypadki... puszczania podczas lekcji radia na tranzystorach, które „wędruje" pod ławkami, utrudniając przez to swą lokalizację. Mimo zakazu palenia na terenie szkoły, nie tylko nie jest on respektowany, lecz niejednokrotnie nauczyciel zmuszony jest prowadzić lekcję w klasie zadymionej (trudno podczas zimy i podczas jednostki lekcyjnej dopiero wietrzyć salę, a dyżury nauczycieli na przerwach sprawy nie rozwiązują, bo wychowanko wie chowają papierosy... w rękawach). Pomijam już „drobniejsze" wybryki, jak gwizdy i tupanie na lekcjach, strzelanie do siebie nawzajem z gumek, rzucanie ogryzkami, kawałkami tynku, puszczanie „jaskółek" itp. Zdarzają się wypadki przynoszenia... kota na lekcje lub znalezionego gdzieś naboju z groźbą: „Jak mi pan profesor nie da trójki, to ja..." Krótko mówiąc, autorytet szkoły, a więc i władzy, którą ona reprezentuje, zostaje poważnie nadszarpnięty bez żadnych istotnych konsekwencji dla sprawców. Bo nie jest żadną specjalną „karą" brak prolongaty, legitymacji na przeciąg miesiąca, czy rozmowa delikwenta z dyrektorem szkoły, który i tak ma dosyć własnych kłopotów. Rozmowa, która spotyka się potem w gronie kolegów z odpowiednim „komentarzem", a jeśli nawet skutkuje, to tylko chwilowo. Zawiadomienia wysyłane do zakładów pracy z prośbą o interwencję rzadko skutkują, powiadamianie rodziców daje rezultaty, o których była już mowa. Zresztą ci ostatni na ogół z trudem wierzą relacjom nauczycieli: „Mój syn to zrobił, taki porządny chłopak? On w domu każdą złotówkę oddaje..."

Fakty są jednak inne. Znoszenie aroganckich odezwań się uczniów, wyłóczanie się o oceny, to niemal codzienny „chleb" nauczyciela szkoły zasadniczej. Szkoły powołanej do tego, by czegoś nauczyć, do której się chodzi — według autentycznych wypowiedzi uczniów — „bo zakład grozi, że w przeciwnym razie da wymówienie". Nie zachęcają do pracy i inne deklaracje w rodzaju: „Niech pan profesor spowoduje, że będę mógł nadal pracować w fabryce, to już dzisiaj przestanę marnować czas w szkole". Nie zachęcają i wyniki nauczania, według których — gdyby miały być jedynymi kryteriami oceny — nawet połowa uczniów nie mogłaby otrzymać promocji do następnej klasy. Młodzież szkół zasadniczych jest trudna, ale czy społeczeństwo nie ułatwia jej demoralizowania przez tolerowanie względnej bezkarności za wybryki nie licujące z mianem ucznia? Stwierdzenie, że trudno tym dorastającym chłopcom pogodzić pracę zawodową z dokształcaniem, że często nie dosypiają, nie jest przecież żadnym usprawiedliwieniem. Szkoły tego typu są pomyślane w ten sposób, by umożliwić pogodzenie obu tych spraw — temu właśnie służy wcześniejsze zwalnianie z pracy, ograniczenie do minimum ilości lekcji oraz ich wliczanie do obowiązującego wymiaru godzin. Odnoszenie się młodzieży szkół zasadniczych do nauki jest jednak z gruntu niewłaściwe i w nim należy upatrywać niektóre powody kłopotów wychowawczych pedagogów. Warto chyba jednak uświadomić sobie i pozostałe, aby zmienić to, co się da poprawić...

Książki nadesłane

R. MUSIL — NIEPOKOJE WYCHOWANKA TOERLESSA, WL, K-ków.

G. ZAPOLSKA — KAŚKA KARIATYDA, WL, K-ków.

J. KURCZAB — 7 ZIELONYCH ZESZYTÓW, WL, K-ków.

F. KLEIN — NOTATNIK KRAKOWSKI, WL, K-ków.

B. DROBNER — WSPOMINKI..., WL, K-ków.

J. WIKTOR — ROZMOWY POD KOLOROWYM PARASOLEM, WL, K-ków.

W. ZECHENTER — Z PEGAZEM POD GAZEM, WL, K-ków.

T. TRUSZKOWSKA — STRUMIEŃ, WL, K-ków.

H. MICIŃSKA — POD GÓRĄ KRÓLOWEJ BONY, WL, K-ków.

E. ZEGADŁOWICZ — ZMORY, WL, K-ków.

SPROSTOWANIE

W numerze 23 „Odgłosów" z dnia 13 bm. na str. 3, w podpisie krótkiej notki biograficznej pt. „Życiorys fotograficzny" powinno być: Eugeniusz Haneman. Za pomyłkę przepraszamy.

KRONIKA Antytelewizyjna

COWBOYSKIE POWINOWACTWA

Gdyby w telewizji jak w literaturze istniały bestsellery, to w Polsce takie miano i związaną z nim sławę bez wątpienia zyskałby „Święty" i dr Kildare. Popularność ich jest tak wielka, że należy mówić o społecznym wymiarze zjawiska. Na ich pojawienie się na małym ekranie większość utelewizyjnionych domów czeka z utęsknieniem i niecierpliwością, jak na przyjazd kogoś bliskiego i bardzo lubianego. Skąd bierze się ten fenomen? Bo przecież nie ze specjalnych, nadzwyczajnych wartości artystycznych czy filozoficznych tych dwóch cykli. Tu decyduje inna skala wartości. Drżyjcie — o panowie teoretycy snujący uczone wywody nad sztuką telewizyjną według tradycyjnych artystycznych recept. Nie wyjaśnicie w ten sposób owego fenomenu. Telewizja to żywioł domagający się innych ocen, odmiennego spojrzenia.

Doktor Kildare i „Święty" to rodzeni bracia starszych o pół wieku filmowych cowboyów. Tu i tam, współcześnie i przed laty zadziałał ten sam społeczny mechanizm. Za młodu karmiono nas widać zbyt dużą ilością baśni. Wyrośliśmy, staliśmy się dojrzali i mądrzy (czasem jakże przemądrzali), ale w głębi nas drzemie tęsknota do owego świata poznanego w dzieciństwie. Świata uporządkowanego, świata bez zwątpień, w którym wszystko kończy się zawsze dobrze. Obowiązkowo. Świata, który tak łatwo da się posegregować, podzielić na czarne i białe, na zło i dobre. Zło czyha w nim na bohaterów, ale dobro zawsze zwycięża. Opowieść kończy się niezmiennie uśmiechem i można iść spać spokojnie w szczęśliwym przekonaniu, że „człowiek — to brzmi dumnie".

Pod takim właśnie optymistycznym wezwaniem, do którego jak refren można by powtarzać słowa arii „ja bajki tak lubię ogromnie", powstał przed laty western — film o cowboyach. W świecie skomplikowanym, zarażonym, zgangrenowanym cywilizacją była to ucieczka w stronę praw prymitywnych, absolutnych i z gruntu harmonijnych. Siedząc na westernie widz kinowy miał zawsze tę błogą pewność, że dobry cowboy zwycięży, że zanim w sali kinowej zapalą się światła, na ekranie zapanuje ład społeczny, porządek. Sprawiedliwość zostanie wymierzona, zło poskromione, winy odpokutowane. Walka nabierała sportowego sensu i tak uszlachetniona rozładowywała drzemiące w człowieku odwieczne bojowe instynkty. Podnosiła człowieka do rangi zwycięskiego, prostego i wspaniałego herosa. A równocześnie western był hymnem pochwalnym na cześć ludzkiego ciała. Dobry był zarazem silny, dzielny, sprawny, imponujący fizycznie. Miłość uwolniona od kompleksów freudowskich, jak wszystko w tym świecie, była dobra, nieskomplikowana. Ukochaną kobietę zdobywało się w sportowej walce z innymi rywalami, chroniło przed niebezpieczeństwem, otaczało opiekuńczością, sadzało na konia i odjeżdżało z nią w radosną przyszłość. Żyli długo i szczęśliwie, i ja tam byłem, miód, wino piłem...

Widz pokochał to widowisko. Nie żądał od niego artyzmu. Ale i nie zabraniał mu być sztuką przez duże, zasłużone „S". W każdym bądź razie nie to było dla niego najważniejsze.

Nastał wiek telewizji. Nowe miliony widzów. Jeszcze większa popularność. Western wdarł się zwycięsko na mały ekran. Ale w jego mikrorozmiarach owe pełne szerokiego oddechu, swobody poruszania i malowniczości plenery straciły wiele ze swego imponującego, beztroskiego piękna. Pęd gibkich, rasowych koni stawał się mniej upojny. I wówczas zamknięty w czterech ścianach własnego domu odbiorca zapragnął zobaczyć swego herosa też w takim czterościennym kameralnym zamknięciu. Wyczuła to pragnienie telewizja. Kierowana nieomylną intuicją społeczną dokonała przemiany bohatera. Tamtego — cowboya — pozostawiła przy życiu, lecz stworzyła typ nowy. Rodzina cowboyów powiększyła się o nowe, bardziej ucywilizowane, lecz nie mniej proste, szlachetne, zwycięskie pokolenie. To z niego właśnie wywodzą się doktor Kildare i „Święty".

Nowi, telewizyjni bohaterowie są tak samo dzielni, odważni, sprawni, dobrzy i zawsze zwyciężają. Ale swoje sukcesy doktor Kildare zawdzięcza inteligencji, rozumowi, a nie cudownemu mechanizmowi ludzkiego ciała. „W zdrowym ciele zdrowy duch". Taki jest doktor Kildare i walczy o to, aby tacy byli ci, którymi się opiekuje. Cywilizacja na usługach człowieka. Medycyna zwycięsko poskramiająca zmorę ludzkości — chorobę. Opieka nad słabymi, bezbronnymi. Nad dziećmi. Odwoływanie się do elementarnych ludzkich uczuć, odruchów. Litość, zrozumienie i chęć niesienia pomocy. Ta sama recepta widowiskowa bez względu na wiek odbiorcy. Dla młodszych — Bonanza i Zorro. Dla starszych — doktor Kildare i „Święty". Wszystkie te postacie mają ten sam rodowód, to samo źródło popularności. I nie jest w stanie zaszkodzić owej popularności fakt, że poszczególne części każdej z tych serii są do siebie bliźniaczo podobne, zrobione „na jedno kopyto".

Wniosek jest jeden, nasuwa się nieodparcie: istniało społeczne zapotrzebowanie na tego typu programy telewizyjne. Zapotrzebowanie wyrażające się w cyfrach milionów telewidzów. Te miliony to potęga, z którą nie można się nie liczyć, choćby nie wiem jak protestowała przeciw takim upodobaniom elita intelektualna. I dobrze by było, gdyby cowboyskie powinowactwa stały się lekcją dla polskich twórców telewizyjnych. Pod tym względem twórcy polskiego programu niejednego muszą się jeszcze nauczyć.

KTV

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„NIE ZABIJAJ" to tytuł filmu, który właśnie wchodzi na nasze ekrany. Filmu, który odwołuje się do ludzkiego sumienia, który pragnie je poruszyć, wstrząsnąć nim, zmusić człowieka do zastanowienia się nad sensem istnienia i sensem zabijania. To film o moralności współczesnego człowieka w odniesieniu do piątego przykazania. Aby tego wstrząsu dokonać, twórcy filmu pokazali dwóch bohaterów: Niemca i Francuza. Niemiec jest księdzem, a Francuz rekrutem powołanym właśnie do wojska. Przez pierwszą część filmu losy ich toczą się osobno, bez wzajemnego związku, dwoma oddzielnymi torami. Francja po latach poszukuje Niemców zamieszanych w morderstwo dokonane na bezbronnych mężczyznach w jednej z francuskich fabryk tuż przed zakończeniem wojny. Jednym z poszukiwanych jest właśnie ksiądz niemiecki, który w tym czasie zamienił sutannę na mundur. W jego wspomnieniach odżywa tamto wydarzenie. To właśnie on rozstrzelał jednego z francuskich robotników. Rozstrzelał wbrew sobie. W gruncie rzeczy był wobec Francuzów człowiekiem i współczuł ich doli. Ale był wojskowym. Rozkaz przyszedł z góry. Nie zabić znaczyło zginąć samemu. A własne życie jest cenne, cenniejsze od sumienia, od boskich przykazań, które się głosi profesjonalnie i z przekonania, cenniejsze od życia cudzego. I wtedy dochodzi do sceny wstrząsającej, choć ukazanej trochę melodramatycznie: niemiecki ksiądz pozwala przed śmiercią pomodlić się swojej ofierze. Niemiecki ksiądz w ten sposób stara pogodzić się z Bogiem, uspokoić swoje sumienie. Okrutny i jakże wymowny jest ten pacierz pod lufą oczekującego karabinu. I wtedy pojmujemy z jasnością — mamy przed sobą dwie ofiary: Francuza, który chce żyć i Niemca, który nie chce zabić. W obliczu gwałtu zadawanego człowieczeństwu obaj przeżywają męczarnie. A przecież to, że pragnienia obu nie mogą się spełnić, sprawili ludzie. Po dwudziestu latach niemiecki ksiądz oddaje się w ręce francuskiego sądownictwa. Ale oddając się ma absolutne poczucie bezpieczeństwa: jest — w swoim mniemaniu — całkowicie niewinny, był przecież tylko wykonawcą rozkazu. Poza tym ma dodatkowy atut na swoją obronę: sutannę.

W dwadzieścia lat od zakończenia wojny do służby wojskowej powołany zostaje młody Francuz. I staje się rzecz niebywała: odmawia włożenia munduru, nie przyjmuje broni. Bo Francuz jest idealistą, nie może pogodzić się z rolą człowieka przygotowywanego do fachu zabijania. Czynem swoim protestuje przeciw przemocy zawodowej, człowieczeństwu, przeciwko gwałceniu ludzkiej moralności. Nie lada to był kłopot dla przełożonych wojskowych, ba — dla samej generalicji. Odmowa służby wojskowej w imię idealistycznych przekonań? To pachnie anarchią, buntem. Młody Francuz jest niebezpieczny. Poddaje się go psychiatrycznym badaniom. Wystarczy jeden podpis chłopaka, a zostanie uwolniony od obowiązku służby wojskowej z adnotacją: niezdatny. Ale Francuz odmawia złożenia takiego podpisu. Jego postępowanie nie jest wymigiwaniem się od służby. To świadomy i zamierzony akt protestu. To przypomnienie ludziom piątego przykazania: nie zabijaj.

W tym momencie koleje życia obu bohaterów filmu zderzają się ze sobą. Obaj trafiają do tego samego więzienia, gdzie oczekują na proces. Los spłatał francuskim sędziom przykrego figla: obie sprawy rozpatrywane będą w tym samym dniu, jedna po drugiej. Sędziowie są sprawiedliwi. Znają i szanują paragrafy prawa. Mają na celu dobro wyższego rzędu: interesy państwa. I pada wyrok sprawiedliwy: Niemiec — uniewinniony, Francuz — skazany. Tylko, że jest to sprawiedliwość martwych, sztywnych paragrafów, sprawiedliwość wbrew ludzkiemu sumieniu. Przeciwko takiej sprawiedliwości protestuje film „Nie zabijaj". Jest oskarżeniem prawa i porządku społecznego. Jest wyzwaniem rzuconym mechanizmowi państwowemu, który uczy ludzi zawodu zabijania.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Miałabym ochotę odpukać, żeby nie zapeszyć. Znowu interesujący film polski, będący niewątpliwie wydarzeniem artystycznym w naszej kinematografii! Niedawno arcyciekawy „Walkower", a teraz — na ekrany wchodzi „SALTO"; film według własnego scenariusza i w reżyserii Tadeusza Konwickiego. Najkrócej można by go określić: oto narodził się ekranowy Mrożek. Przez okulary i kamerę Konwickiego świat wygląda inaczej niż go zazwyczaj widzimy: choć w szczegółach bardzo realistyczny, w sumie jest odrealniony, zdeformowany. To zamierzona deformacja. Bo „Salto" jest filmową groteską. Jest niemiłosierną kpiną z tradycji i obciążonej nią współczesności. To film, który „nicuje" człowieka całkowicie, dobiera się do jego „podszewki". Ukazuje nienaturalność współczesnych ludzi, ciągłe przybieranie maski, sztuczne pozerstwo, zakamanie, wypowiedzi i sądy bohaterów nie mające pokrycia w rzeczywistości. Film Konwickiego bije we wszelkie pseudo — jakie można przypisać człowiekowi: w pseudoidee, pseudouczucia, pseudomoralność, pseudouczciwość, pseudofilozofię. Konwicki jest surowy nie tylko wobec innych, również i wobec siebie samego. Film zaprawiony jest kpiną z własnej twórczości reżysera: filmowej i literackiej. I tu dochodzimy do bardzo istotnego momentu: „Salto" jest filmem aluzyjnym. Aluzje gnieżdżą się w nim na każdym kroku. Ale odnoszą się nie tylko do własnej twórczości reżysera. Ich wachlarz jest bardzo szeroki. Scena zabawy wyraźnie przypomina „Wesele". Lunatyczny taniec na zabawie odwołuje się nie tylko do Wyspiańskiego, jest równocześnie — szczególnie poprzez muzykę — aluzją do zakończenia „Osiem i pół" Felliniego. Konwicki pozwala sobie na swobodne igranie wyobraźni. Odmieszając ludzi, ich przywary, reżyser dyskutuje i polemizuje z przeszłością kulturalną, która przejęła się ludzką fanfaronadą, uwierzyła w to, co było tylko pozorne: w ideowość, szlachetność, celowość ludzkich przedsięwzięć, podporządkowanie ich wyższym wartościom. Przekazując nam taki obraz ludzi, tradycja kulturowa wzięła tym samym udział w zbiorowej mistyfikacji, jaką jest życie. Z kolei odrywając się od niego — straciła odbiorców, zrozumienie, była przejawem bezsilności wobec rzeczywistości. W ten sposób baty dostaje i współczesna poezja. Ale to raczej na marginesie. „Salto" jest wymierzone przede wszystkim przeciwko romantycznemu, idealistycznemu poglądowi na świat i sposobowi jego ukazywania. Odrzuca zasadę przyczyn i skutków, która tak ładnie porządkuje ludziom wyobrażenia o swoim gatunku. Ukazuje świat w całej krasie absurdalności. Groteskowość, gryząca ironia, komizm absurdu, aluzyjność — oto najbardziej istotne cechy „Salta".

Znakomicie wyczuł atmosferę filmu odtwórca głównej roli — Zbigniew Cybulski. Wspaniały jest w tym filmie. Z kobiet najbardziej podobała mi się Laskowska. Pierwszorzędna jest rama „Salta": na początku scena wyskakiwania z pociągu, na końcu — projekcja tej samej sceny do tyłu z efektem wskakiwania. To stanowi dopełnienie owego opisywanego przeze mnie absurdu.

Przestrzegam: „Salto" nie jest filmem łatwym. Odwołuje się do znajomości różnych spraw i ich utrwalenia w sztuce — literaturze i filmie, jest ciągłe dyskusją intelektualną z widzem, wymagającą od niego czynnego udziału w tej wyrafinowanej zabawie, jaką jest niewątpliwie cały film. To film dla koneserów, skazany chyba z góry na niepopularność.

MARIAREL

MARGARET ST. CLAIR

DOM GROZY

Dickson-Hawes pobladł. Szybkim ruchem zamknął klapę otworu, do którego jeszcze przed chwilą zaglądał.

— Mimo wszystko jest to tylko zwykła fikcja, nie, Freeman? — powiedział. — Przypomina mi trochę potwora, o którym pisze Yeats. Musimy jednak pamiętać, że ludzie, którzy przychodzą do domu grozy dla zabawy, żądają czegoś więcej. Nie sądzę, że to będzie na nich działało, tak, jak na mnie.

Twarz Freemana przybrała ponury wyraz.

— Wydawało mi się, że można doświadczyć przy tym całkiem miłego uczucia. Nie traciłbym nigdy tyle czasu na ten cały interes, gdybym wiedział, że to nikogo nie zainteresuje. Praca naukowa bardziej mi leży. Na pewno zarobiłbym więcej, pracując nad jednym z rządowych projektów

— O ile mi wiadomo, to nie masz zbyt dużego wyboru, co, Freeman? Twoja przeszłość nie daje ci większych szans. Chyba, że zechcesz odpowiadać za defraudację pewnej większej sumki państwowej...

— Jestem taki, jak każdy inny. Wszystko, co chciałem zrobić w ciągu tych paru lat, to zarobić trochę forsy. Niestety, wszystkiemu winne to cholerne szczęście.

— Oczywiście, doceniam twój wysiłek. Sądzę, że masz parę dobrych pomysłów. Niestety, tego nie będę mógł przyjąć.

Odeszli od zamkniętego otworu. — Tak więc, przyjmuje pan tylko Wiosenną Scenę? — zapytał cicho Freeman.

— Jest rzeczywiście wystarczająco niesamowita. Masz jeszcze coś do pokazania?

Freeman zamyślił się. — Jest jeszcze Studnia — powiedział po chwili. — Wprawdzie wymaga ona pewnej przeróbki, ale przypuszczam, że i w takim stanie może wywrzeć wrażenie.

— Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o tym, ile pieniędzy pochłonął cały ten interes. Jak dotychczas, dwa twoje przedsięwzięcia wzięły w leb. Wtedy też wydawało ci się, że zarobimy dużo.

— To jest całkiem inna sprawa.

Przeszli korytarzem do drugich drzwi. Freeman przekręcił klucz. — Chciałbym, żeby ściszył pan głos. Urządzenia są bardzo czułe.

Wyszli na coś w rodzaju podwórza. Z prawej strony, tuż przy zagajniku, stał stary, zaniedbany dom. Przed nim znajdowała się przykryta drewnianym okapem, omszała kamienna studnia. Grunt dokoła studni był śliski od wilgoci.

Dickson-Hawes pokiwał z uznaniem głową.

— Muszę przyznać, że zwrócił pan baczną uwagę na szczegóły. O, nawet czuć żabami i zbutwiałym drzewem.

— Dziękuję — uśmiechnął się Freeman.

— Co dalej?

— Proszę zajrzeć do studni.

Dickson-Hawes podszedł ostrożnie na palcach i przechylił się. Z głębi studni dochodziło bulgotanie i pluskanie. Cofnął się i pobladł.

— Cholera, co za potwór! Co to jest?

— Zwykły mechanizm zegarowy. Działa 36 godzin po nakręceniu. Niestety, nie mogłem użyć baterii ze względu na dużą wilgoć. Te zielone błyski pochodzą z pryzmatów.

— Co się stanie, jeżeli wrzucę tam parę kamyków?

— Nic, po prostu TO wyjdzie na wierzch.

— I nic więcej?

— Ściemni się, i w domu zaczną się hałasy. Czy to wystarczy?

— Dobra jest. Będziemy musieli wprowadzić pewne udoskonalenia. Przede wszystkim założyć poręcz i zrobić bardziej śliskie dojście do studni. Oczywiście, musimy to wszystko jeszcze mocniej zaciemnić, tak aby pary mogły się obejmować i całować. Niemniej jednak, odwaliłeś ładną robotę, Freeman. Głos jego zabrzmiał donośniej przy wymawianiu ostatnich słów. W studni dał się słyszeć głośniejszy plusk. Freeman zmieszał się.

— Ciii...! Prosiłem pana o ściszenie głosu. To niezbyt dobrze działa na mechanizm. Sądzę, że klienci nie powinni się całować tutaj. Mogą to przecież robić na zewnątrz.

— Masz chyba rację. Pozwolenie na pieszczoty w tym miejscu mogłoby zepsuć cały efekt.

— A więc dobrze. Ile mi za to pan zapłaci?

— Mój adwokat rozpatrzy wszystkie szczegóły. Zapewniam cię, że będziesz zadowolony z kontraktu. Nie mogę powiedzieć dokładnie ile, nim nie zapoznam się z patentem.

— Niestety, moja studnia nie może być opatentowana. Są w niej pewne szczegóły, których nie mogę ujawnić.

— Dobra jest, zobaczymy! Wyjdźmy stąd, to nie jest miejsce dla rozmów tego rodzaju.

Znaleźli się znów w hallu. Freeman zatrzasnął drzwi.

— Czy masz jeszcze coś do pokazania? Wydaje mi się, że ta studnia jest zbyt statyczna. Przydałoby się trochę więcej akcji, świadomego uczestniczenia samych klientów.

— Dobrze, pokażę panu coś, w czym jest i akcja, i uczestniczenie klientów. Niestety, nie wszystko jest wykończone. Zatrzymali się przed masywnymi drzwiami, zabezpieczonymi potężnymi kłódkami.

— Proszę teraz o zupełną ciszę. Żadnych hałasów, rozumie pan. Wyjął pęk kluczy z kieszeni i zaczął mocować się z pierwszą kłódką.

— O, ktoś nabazgrał na ścianie — zauważył Dickson.

Freeman obejrzał się. Na przeciwległej ścianie, tuż pod sufitem widniał niezgrabny czarny napis — DOM GROZY.

Freeman z hałasem upuścił klucze. Kiedy je podnosił, drżały mu ręce.

— Zmieniłem postanowienie — wyjąkał. — Cholerny pech...

Zapanowała cisza. Dickson-Hawes w dalszym ciągu opierał się o ścianę. Freeman zauważył nerwowy tik jego lewej powieki.

— Ile mi pan daje za Studnię — zapytał.

Dickson-Hawes przymknął oczy. Być może, zastanawiał się, czy słowna umowa bez świadków jest tak samo ważna, jak pisemna:

— Pięć tysięcy gotówką i odpowiedni udział w interesie, w ciągu pierwszych trzech lat. Wystarczy?

Freeman odetchnął.

— Dobrze. Jak tam pańskie nerwy? Gdybym nie potrzebował pieniędzy, to...

— W porządku. W czasie wojny przeżyłem coś niecoś — powiedział Dickson, siląc się na naturalny głos.

— A więc niech pan uważa i zachowa całkowity spokój. Nie wolno krzyczeć bez względu na to, co pan tam ujrzy. Są one... to znaczy... cały mechanizm jest bardzo czuły.

— W porządku...

Freeman zmarszczył brwi. — Niech pan pamięta: To wszystko nie jest realne. Przekręcił klucz drugiej kłódki i pchnął drzwi. Znaleźli się na zewnątrz. Stali teraz na wysepce, na skraju szerokiej autostrady z nie kończącym się strumieniem aut. Był zmierzch. Obok stał nowy, błyszczący kabriolet. Freeman otworzył drzwiczki i wśliznął się za kierownicę. Przy nim usiadł Dickson.

— No co, przejedziemy się kawałek? Wyczekał moment i zjechał na jezdnię. Dodał gazu. Obok sunęły sznury samochodów. Dickson-Hawes szukał wzrokiem szybkościomierza, nie znalazł go. Minęli garaż i stację obsługi ze stożkowatymi pompami, parę tablic reklamowych z dziwnymi napisami.

— Freeman, gdzie my właściwie jesteśmy?

— A więc jest pan już pod wrażeniem. To świetnie. Z początku klient myśli, że znajduje się na normalnej drodze, wśród zwykłych ludzi, spieszących do domu na obiad. I wtedy zaczyna dostrzegać subtelne różnice. Wszystko to jest troszeczkę bez związku i wywołuje pewien niepokój, ale może się pan nie obawiać.

— Tak, ale jaki jest cel tego wszystkiego? Co mamy robić?

— Nic, po prostu jechać jak wszyscy inni.

— O, widzi pan ten czarny samochód na zewnętrznym pasie? Proszę go obserwować.

W pewnej chwili czarny samochód zrównał się z niedużą, niebieską limuzyną i zaczął ją spychać do krawężnika. Limuzyna przyspieszyła, ale czarny dogonił ją i przyparł jeszcze bardziej agresywnie. Nagle przeciął jej drogę na ukos i zatrzymał się. Dał się słyszeć przeraźliwy pisk hamulców i niebieska limuzyna uderzyła przodem w bok czarnego samochodu. Przez chwilę nic nie mogli zobaczyć. I nagle trzy długie, kosmate, niezwykle cienkie ręce wysunęły się z czarnego samochodu i przez okno limuzyny sięgnęły do wewnątrz... Rozległ się dziki krzyk i ręce wypełzły z... urwaną ludzką głową. Wrzuciły ją do wnętrza i zaatakowały niebieski samochód jeszcze raz!

Dickson był bliski omdlenia. Patrzył z otwartymi ustami, jak sparaliżowany. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wreszcie krzyki ustały.

— Freeman, czy jest ich więcej? — wydusił złamanym głosem Dickson.

— Tak. Właśnie jeden z nich jedzie w naszym kierunku. Od wrócił głowę. Drugi czarny samochód był tuż za nimi. Dickson oblizał wargi.

— On jedzie... do nas?

— Tak mi się wydaje.

— Ale dlaczego? Dlaczego do nas?...

— Część zabawy. Nie byłoby takie straszne bez tego. Spróbujemy im jednak uciec. Dodał gazu. Czarny zbliżał się powoli do nich. Dickson zapiszczał histerycznie.

— Ciii...! Bo rzeczywiście coś się zdarzy nieprzewidzianego. Uwaga! Freeman gwałtownie zahamował i kabriolet lekko uderzył w tył samochodu, jadącego przed nimi. Czarny samochód przemknął obok. Freeman zjechał do krawężnika. Byli w tym samym miejscu skąd wyjechali.

— Nie podoba mi się to! — wykrztusił Dickson. Gdybym wiedział, to bym... Ale głupstwo, jesteśmy już bezpieczni.

Dickson-Hawes chwiejnym krokiem wyszedł z samochodu. Ciężko oddychał. Był blady.

Znaleźli się znów w długim korytarzu.

— Działa lepiej, niż przypuszczałem. Myślałem, że zacznie pan krzyczeć. No, ale czuję, że nareszcie wygrałem. Chodźmy do mego gabinetu napić się czegoś — zaproponował Freeman — tam powie mi pan, co o tym sądzi.

Zeszli na dół. Dickson opadł ciężko na fotel. Wypił podaną whisky, potem drugą i trzecią.

— Czy to wszystko było prawdziwe?

— Oczywiście, że nie.

— Wyglądało na strasznie prawdziwe. Upiorne! Ta głowa! Głowa kukły! Straszne!...

Dickson-Hawes przyszedł już prawie do siebie. — Było to moje najbardziej makabryczne przeżycie — stwierdził. Freeman roześmiał się. Widzi pan, ludzie lubią mocne przeżycia, dlaczego więc nie dać im okazji do tego. Oczywiście, nie należy też zbytnio przesadzać. — Podobało się to panu?

— Oczywiście. Uważam to za dobry pomysł. Niemniej jednak trzeba będzie to trochę złagodzić.

Freeman uśmiechnął się. Dobrze, ale wpierw muszę mieć pańskie zobowiązanie na piśmie. Ostatecznie są jeszcze inni, którym mogę to sprzedać np. Jenkins czy Silberstein...

— Jenkins zwiał parę miesięcy temu, po zdefraudowaniu 6 tysięcy, należących do spółki. Nikt nie widział go od tego czasu. Natomiast Silbersteina widziano, jak chodził po ulicach w napadach histerii. O ile wiem jest teraz w domu dla psychicznie chorych. Więc widzisz — Freeman — nie masz kupców.

— Muszę jednak mieć pańskie zobowiązanie, nim przeprowadzę jakieś większe zmiany — powtórzył uparcie Freeman.

— Dobrze — powiedział Dickson. — Możemy płacić 250 dolarów tygodniowo, przez parę miesięcy, a potem zobaczymy. Zgoda?

Freeman wzruszył ramionami. — To może sporządzimy umowę. Chciałbym to mieć czarno na białym.

— Okey!

Freeman schylił się i zaczął grzebać w szufladzie biurka. Nagle przestał, nasłuchując. — Wydawało mi się, że mam tu jakiś papier. O, jest! Zapalił lampkę i zaczął pisać.

Dickson-Hawes usiadł wygodnie w fotelu. Głośno i bezbarwnie nucił jakąś piosenkę.

— Tak, to wszystko. Freeman wstał od biurka, chcąc podać Dicksonowi arkusz z warunkami umowy.

Wtem rozległ się potężny łomot walącej się ściany. Poprzez zasłonę pyłu Freeman zobaczył ogromnego, kosmatego VOOMA, który wyciągał z pokoju Dicksona!

Po raz pierwszy udało MU się przedostać przez przepierzenie w poszukiwaniu ofiary. Niewątpliwie podnieciła go do tego nieudana pogoń — pomyślał Freeman, patrząc smutnie na nie podpisaną umowę.

Krzyki Dicksona-Hawesa ucichły. Freeman był wściekły. Nie znajdzie teraz w całych Stanach człowieka — który mógłby finansować jego pomysły. Podszedł do półki z książkami. Wyjął jedną, przerzucił kartki. Potem zajrzał jeszcze do paru innych.

— Taak. Pokiwał głową. Trzeba się z NIMI porozumieć. A to już sprawa systemu sygnalizacyjnego. Uśmiechnął się. Tak, pomogą mi. Zbuduję sieć domów grozy wszędzie, w parkach, nad morzem... Ludzie lubią przeżywać szoki, dam im więc Dom Grozy... z VOOMAMI.

Tłum. WITOLD LIWAROWSKI

SPEKTAKLE tygodnia

	Film		
WŁÓKNIARZ	„Miłość dwudziestolatków", 25 spektakli	7.068	— 50%
POLONIA	„Włoszki i miłość", 15 seansów	7.362	— 70%
	Teatr		
NOWY	„Wicek i Wacek", 1 spektakl	400	— 60%
	„Osiem kobiet", 4 spektakle	1600	— 60%
	„Życie Galileusza", 1 spektakl	400	— 60%
NOWY Mała Sala	„Drewniana miska", 4 spektakle	800	— 100%
JARACZA	„Ostatnia stacja", 4 spektakle	2600	— 100%
	„W pustyni i w puszczy", 2 spektakle	1300	— 100%
	„Ania z Zielonego Wzgórza", 1 spektakl	650	— 100%
	„Kto uratuje wieśniaka", 1 spektakl	400	— 70%
POWSZECHNY	„Dziady", 2 spektakle	1336	— 100%
	„W 80 dni dookoła świata", 2 spektakle	1336	— 100%
7.15	„Latające dziewczęta", 4 spektakle	1563	— 89%
	„Pani prezesowa", 2 spektakle	652	— 73%
OPERA	„Janek", 1 spektakl	473	— 80%
OPERETKA	„Bal samotnych", 7 spektakli	5281	— 68%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	692 słuchaczy	— 55%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

KRAKOWIACZEK DLA BABCI

Wielki a przewrotny magnat i sybaryta rzymski, Petroniusz, zaprosił kiedyś na ucztę swych przyjaciół, a kiedy zdrowo podpili — otworzył szczelinę w suficie i zasypał ich deszczem róż, aż się od zapachu podusili.

W pewnej nowelce Edgara Allana Poego ojciec, niechętny amorom syna z jakąś „nieodpowiednio urodzoną" dziewczyną, przyłapawszy ich razem związał silnie ze sobą — macie, nacieszcie się. Po paru godzinach oczywiście nie mogli już tego znieść.

Jaki z tego morał? Całkiem banalny: największe uciechy też należy dozować. Co za dużo to niezdrowo. Jest to jeden z tych morałów, które należałoby wpajać każdemu pokoleniu, od najwcześniejszych lat poczynając.

Lubimy dzieciom sprawiać przyjemność. Przyjemnością jest chwilowe zwolnienie z codziennych, stałych obowiązków, czyli święto. Dzieci w wieku przedszkolnym nie mają jednak obowiązków, bawią się w niedzielę tak samo jak w poniedziałek, tyle że w niedzielę jeszcze im się zabrania brudzić ubranka. Więc święto mało ich interesuje.

Tymczasem nigdzie nie ma takiej orgii świąt i takiego nieustannego fetowania, jak w przedszkolach i żłobkach. Normalny dzień stał się już tutaj rzadkością. Wyliczmy tylko z grubsza: choinka noworoczna, święto kobiet, dzień matki, dzień dziecka, dzień nauczyciela, dzień babci (słowo daję — jest taki), początek roku, połowa roku, koniec roku, pierwszy maja, dzień górnika — Barburka, dwudziestolecie przedszkola, imieniny pani kierowniczki, dożynki — to już czternaście okazji. Jeśli odjąć od roku dziesięć tygodni wakacji letnich i zimowych — w pozostałym czasie „roboczym" malucha przypada jedno święto na dwadzieścia dni, oprócz oczywiście niedziel i innych świąt kalendarzowych. Na każdą taką okazję szykuje się — to znaczy mamy szykują, żeby przed innymi mamami nie wypaść zbyt skromnie — stroiki, czapeczki, kwiateczki, wachlarze, krynoliny i najrozmaitsze rekwizyty, tresuje się ogłuszone nadmiarem entuzjazmu dzieciaki do coraz nowych, a wciąż takich samych krakowiaków i polonezów, stawiając przy tym nieodzownie na miejscowe sześcioletnie gwiazdy, całkiem już zbałamucone swą sławą i powodzeniem — no i jest wielki w przedszkolu jubel.

Dzieci to tam odskaczą swoje, dostaną kubek kakao i pójdą. Zostają panie z personelu, którym też się coś od życia należy, przynajmniej ten kawał tortu, bigos, jakiś tam śledzik i dwa-trzy damskie głębsze. Jest adapter, dużo miejsca, sporo czasu — trochę brakuje panów. Dwaj zabłąkani ojcowie robią co mogą, zresztą po tych dwóch-trzech damskich panie tańczą także bez panów. Dzień Dziecka kończy się późno wieczór, wkalkulowany w całości w rozrywki kulturalne, gry i zabawy maluchów.

Rosną więc nasze pociechy w radosnej atmosferze krakowiaka dla górników, krakowiaka dla nauczycieli, krakowiaka dla Mikołaja, babci, dziecka i dwudziestolecia. Jakże będą kochać później wszelkie jubileusze, ileż jeszcze wymyślą Dni Wielce Uroczystych i okazji do tych „głębszych" na zapleczu, wychylanych w szlachetnej dyskrecji poza zasięgiem wzroku tych podobno prawdziwych, faktycznych bohaterów uroczystości...

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam.1577.VI.65. N-3